

Andrzej Grabowski

W noc zaklętej nuty

Już pieje kur
w obejściu naszym
a myśmy jeszcze nie wytrzeźwieli
gdyby to chociaż zdrowy sen
lub pomór jakiś
z nóg nas powalił
A tu trwa stypa z pawim piórem
złamanym w nagłej boleści
i charczy wciąż uparcie chór
nad gołą czapką w sukmanie
I dźwięczy kosa
jakby ktoś w sieni
klepał ją na kamieniu
furczy rychtunkiem
a my zębami
zgrzytamy
żeby nie kśsać

i kręci się nam
nasa izba
choć już kapelmistrz
pod stołem
a tu ni wstać
ni trafić do kąta
więc w płaszcach trwamy
od nowa.

Elżbieta Glinka

KSZTAŁTOWANIE MYŚLI

— Chcę być nauczycielką — zadeklarowała przed laty. — Tylko nauczycielką! — Nie miała żadnych wątpliwości: taki będzie jej zawód; na całe życie.

Decyzja czternastolatki. A przecież dojrzała. Nigdy potem Barbara Kozłowska nie żałowała tego wyboru. Pracę zawodową uważa za istotną treść swego życia. — To są „ciągotki niekontrolowane” — śmieje się, a uśmiech rozjaśnia jej pociągłą twarz, przydaje oczom blasku, głosowi ciepła.

Co ją skłoniło do tego zawodu? Nikt przecież w rodzinie nauczycielstwem się nie parat. Powołanie? Czy można mówić o powołaniu w tak młodym wieku? Chyba rozstrzygnęły w istotnym stopniu wzorce: z właściwym nastolatkom zaurzeczaniem i pasją pragnęła pójść drogą swoich wychowawców. Dlatego już kończąc podstawówkę postanowiła: liceum pedagogiczne, studia w tym samym kierunku. Tak się też stało. Matura — i zaraz potem wydział matematyczny krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

— Zamiast właśnie matematyki? — dociekam. — Bo to przedmiot konkretny: konkretnych rozumowań; szerokie pole do rozumowania, a przy tym... nie wymaga zbyt wielu słów, lecz bardzo dużo myślenia. — Jak na przyszłą działaczkę, upodobanie nieco zaskakujące, przywykliśmy, że ten gatunek ludzi wywodzi się raczej spośród elokwentnych — myślę. A Barbara Kozłowska mówi dalej: — Tematem mojej pracy magisterskiej była dydaktyka nauczania matematyki. Zadawałam sobie pytanie, czy uczeń może lubić ten przedmiot?

Po studiach — powrót do rodzinnego miasta u podnóża Tatr, powrót do swojej zakopiańskiej szkoły podstawowej — ale już w nowej roli: nauczycielki. Dziwne uczucie, gdy naraz staje się po drugiej stronie owej niewidzialnej linii dzielącej „klase” i „panią”, gdy dawni wychowawcy przestają być w kolegów, a pokój nauczycielski w miejsce „do którego się przynależy”.

W szkole pracowała pięć lat. Uczyła dzieci — ale i sama co dzień czegoś się uczyła. Kiedy w zakopiańskim Urzędzie Miasta i Gminy utworzono Wydział Oświaty i Wychowania — był to rok 1973 — Barbarze Kozłowskiej powierzono funkcję wizytatora. Widać, zwróciła uwagę swoją wiedzę, umiejętności. Nie chciała jednak zrywać z nauczaniem; prowadziła zatem lekcje matematyki w klasie eksperymentalnej, uczyła w szkole dla dzieci z wadami postawy, czasem bardzo zniekształconych kalek. Mocno się z tą młodzieżą żyła. — Oni mają szalenie bogatą osobowość — powie i ogromny świat przeżyć wewnętrznych. Bardzo szybko dorósł, wyrastają ponad miarę swych rówieśników zdrowych i sprawnych.

Ucząc te kalekie dzieci, poznawała nowe dziedziny swego zawodu: szkoły średnie, szkoły specjalne. Już wkrótce miało się jej to przydać, gdyż objęła w Wydziale sprawy opieki nad dziećmi. Domy dziecka, kolonie, sport i kultura uczniów stały się nowym polem jej działania.

Czy nie czuła się oderwana od zawodu nauczycielskiego, czy nie ciasno jej było w nowej skórze „urzędniczki”?

— Nie! — przeczy. — Bo ja stowa

rolę pojmuję jako dalszy ciąg nauczycielstwa, jako inną, ale również ważną formę pedagogicznej służby. Właśnie: służby. Praca administracji państwowej musi być służbą, jeśli administracja ma prawidłowo spełniać swoje funkcje. Przecież to administracja jest organem, który najlepiej zna — który winien znać najlepiej — problemy gospodarcze i społeczne swego regionu. Dlatego uważam, takie jest moje najgłębsze przekonanie, że żadnemu pracownikowi administracji nie może zabraknąć ani chęci, ani szybkości w ich rozwiązywaniu. Jest to służba bardzo odpowiedzialna, bo z jednej strony bierze się w swe ręce ludzkie sprawy, z drugiej zaś jest się w oczach społeczeństwa uosobieniem aurytelu i wartości wartości państwa. Kiedy więc widzę, jak nieodpowiedzialni, niedorośli do swych zadań urzędnicy zbywają interesantów zamiast im pomóc, wyjąśnić, gdy traktują ich bezdusznie, czasem wręcz z góry — miałabym ochotę krzyknąć ze złości, z przerażenia nawet, że tak tych urzędników wychowano. W kraju, który zbudowany jest na najpiękniejszych, najszczytniejszych ideałach.

Barbara Kozłowska wie jednak: wychowanie nie polega na głoszeniu hasel, na recytowaniu list najwspanialszych nawet ideałów. Cóż z tego, że będziemy wciąż głosić „socjalizm”, „patriotyzm”, „internacjonalizm”, „humanizm”, gdy będą to tylko słowa nie wsparte dobrymi przykładami, nie rozwinięte przez działanie. A przykładów naprawdę sporo w otoczeniu szkół, pełno ich w historii, w literaturze. Nie brak najistotniejszych dla kształtowania osobowości człowieka

treści. Tylko trzeba chcieć po nie sięgnąć. I nie od przypadku do przypadku, od akcji do akcji — a codziennie, co godzina, co chwila. Młodzież musi oddychać jak powietrzem tym wszystkim co piękne, dobre, wartościowe. Tylko wówczas wyrosną z niej ludzie, jakich chcielibyśmy widzieć wszędzie wokół siebie: ludzie godni. Wychowanie to proces ogromnie długofalowy. I jeszcze jedno: musi on przebiegać w atmosferze zrozumienia wzajemnego, życzliwości, otwartej dyskusji, szczerości. Tylko w takiej atmosferze można kształtować człowieka, rozwijać całą głębię jego uczuć, refleksji, stosunku do świata. Tymczasem w środowiskach masowego przekazu, które w wielkiej mierze wpływają dziś na postawy ludzkie, brakuje dzieł kształtujących uczucia — tę najbogatszą sferę oddziaływań w człowieku. Również i programy wychowawcze, przedszkolne i szkolne nadal traktują dziecko jako przedmiot wychowania, nie zaś jako osobowość — osobowość mającą od najmłodszych lat własne, bogate przeżycia, pytania, problemy; osobowość obserwującą nas wnikliwie i krytycznie. Wychodząc tej docieklowości, narzucanie sztywnych ram, w których nie ma miejsca na własne myślenie, na własne odczucia — rodzi zniechęcenie. Trzeba z tym niebezpieczeństwem ostro, bezpardonowo walczyć. Trzeba za wszelką cenę rozwijać wrażliwość. Bo człowiek wrażliwy nie będzie człowiekiem złym.

— Oburza — mnie — mówi Barbara Kozłowska — gdy słyszę potwarzane bezmyślnie sady: młodzież jest dziś bezideowa. To nieprawda! Jest bardzo logiczna, patrzy na świat realistycznie. I... kryje się z uczuciami, bo wytworzyliśmy taki klimat, że młody człowiek wstydzi się przyznać do swych idei. Zadając sztampy, żądając powtarzania jak za panią matką określonych zdań i zachowań — odczyliśmy młodzież odważy wyrażania postaw i odczuć. A gdy już zepchnęliśmy w podziemie

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

STANISŁAW ŚMIERCIAK

REPORTERSKIE WĘDRÓWKI

Zakopiański kowal — artysta

Rzemieśniczych zakładów branży metalowej jest w Nowosądeckim ponad 370, ale tych, które specjalizują się w dawnym kowalstwie — m. in. wytwarzaniu artystycznych przedmiotów użytkowych, jest już bardzo niewiele. Jeden z najlepszych prowadzi w Zakopanem, przy ul. Regle Jan Albrzykowski. Ma on już ponad 75 lat; naukę zawodu zaczął jako piętnastoletek. Dziś trudna sztuka kowalska nie ma dla niego żadnych tajemnic. Metalowe cacka wykonuje według własnych pomysłów, utrwalanych na gromadzonych w domowym archiwum rysunkach.

Jan Albrzykowski ma nadzieję, że niejedną z tych projektów zrealizuje jego następcą w kowalskim fachu — wnuk, który zdecydował się kontynuować rodzinne bractwo artystycznego rzemiosła.



„Requiem“ dla starosądeckiego festiwalu?

W 1257 roku księżna Kinga otrzymała od swego męża Bolesława południowe tereny kotliny sądeckiej wraz ze Starym Sączem. W tym właśnie miasteczku założyła ona około 1280 roku klasztor siostr Kларыsek. Niewiele lat później klasztor ten stał się awangardowym — na ówczesne czasy — ośrodkiem muzycznym Europy, rozwijającym śpiew wielogłosowy.

Pod koniec lat sześćdziesiątych naszego stulecia przy porządkowaniu archiwów klasztoru dokonano rewelacyjnego odkrycia — pochodzących z XIII i XIV wieku zapisów nutowych utworów, przeznaczonych do wykonywania wielogłosowego. Niezwykle zaślony dla popularyzacji wiedzy o polskiej muzyce Janusz Cegiella określił to znalezisko jako ewenement, którego

odpowiednikiem w archeologii jest odkopanie Biskupina.

Muzyczne odkrycie w starosądeckim klasztorze postanowili wykorzystać działacze społeczni z tego miasteczka oraz wielki znawca dawnej muzyki, twórca sławnej „Capelli Cracoviensis” Stanisław Galiński do zorganizowania Starosądeckich Festiwalu Muzyki Dawnej. Pierwszy odbył się na początku lipca 1975 roku. Od tej pory co roku w tym właśnie okresie zjeżdżali do Starego Sącza na kolejne festiwale najlepsi wykonawcy muzyki dawnej nie tylko z całej Polski, ale również z wielu krajów Europy. Festiwalowe koncerty odbywające się w zabytkowych wnętrzach kościołów klasztornej i parafialnego transmitowała telewizja, nagrano odcinek w formie longplay.

W tym roku jednakże na początku lipca było w Starym Sączu smutno i cicho. Lakoniczny komunikat w prasie informował, że termin Starosądeckiego Festiwalu Muzyki Dawnej przesunięto na pierwsze dni października. Zrodziły się obawy, czy rok 1981 nie będzie rokiem bez festiwalu? I niestety okazały się one zasadne. Wiadomo już, że i w październiku festiwalowych koncertów w Starym Sączu nie będzie.

Mówi się, że festiwal ożyje w roku przyszłym. Ale czy na pewno? Czy w poszukiwaniu oszczędności nie zostanie on skreślony z kalendarza imprez? A tak się stać w żadnym wypadku nie powinno. Nie wolno bowiem dopuścić, by zapomniano, iż przed wiekami wielkim ośrodkiem awangardy muzycznej był Stary Sącz.

Nie ma w całej Polsce szkoły, w której można by obejść się bez wyróbów inwalidycznej spółdzielni „Spójnia” ze Starego Sącza. Jest ona krajowym monopolistą w produkcji kredy tablicowej, białej i kolorowej. Kilka rodzajów kredy ze „Spójni” posiada znaki najwyższej jakości. Kredy te nie brudzą rąk — laski polkrywa się specjalną emulsją chroniącą ręce, a równocześnie nie przeszkadzającą w pisaniu. Roczna

„Spójnia” młodzieży szkolnej

wartość produkcji kredy osiąga 17 milionów złotych i systematycznie warasta. Prowadzi się modernizację i rozbudowę zakładu.

Druga specjalność „Spójni” — to produkcja regulaminowego obuwia szkolnego, tzw. „juniorów”, wykonywana w spółdzielczym zakładzie obuwniczym. Niedawno zainstalowano tu nowoczesną linię montażową, wcielano uciążliwy dla ludzi niepełnosprawnych transport pojemników pomiędzy stanowiskami montażowymi. W tym samym zakładzie obuwniczym budowana jest druga hala produkcyjna oraz okazały pawilon, w którym znajdzie się zaplecze socjalne, biura a także przychodnie lekarska, stomatologiczna i rehabilitacyjna.

Nie bójmy się nadmiaru uzdrowisk

Pierwsze znane nam dokumenty dotyczące Szczawnicy są rówieśnikami bitwy pod Grunwaldem, ale historycy przypuszczają, że miejscowość ta istniała znacznie wcześniej — już w XIII wieku. Nazwa pozwala przypuszczać, że bijące z ziemi źródła wód mineralnych znano od zarania istnienia Szczawnicy; kuracjusze zaczynają tu przyjeżdżać dopiero w ostatnich dziesiątkach lat wieku osiemnastego — piją wodę ze źródła górnego (dzisiejsza „Józefina”), a kąpiele zażywają w wodzie z drugiego — teraz znanego jako „Szymon”. W kilkadziesiąt lat później zdrowotne szczywy z pienińskich źródeł są na tyle słynne, że butelkuje się je i wysyła w odległe strony. W swój „złoty okres” Szczawnica wchodzi jednak dopiero, gdy jej włodarzami zostali Szalayowie. W 1858 roku Józef Dietl z całym przekonaniem pisze: „Szczawnica pomiędzy drogowcami Galicji pierwsze miejsce zajmuje”. Wtedy też pienińskie uzdrowisko nazywane jest „perłą polskich wód”. Perle tej blasku przysparzają nie tylko warunki naturalne, ale także liczne przyjeżdżające goście. m. in.: Adam Asnyk, Stefan Jaracz, Maria Konopnicka, Józef Ignacy Krzaskiewicz, Jan Matejko, Cyprjan Kamil Norwid, Henryk Sienkiewicz, Stanisław Wyspiański.

Szczawnica kwitnie i tętni życiem, a już niezbyt daleko od niej wyrasta następne wielkie uzdrowisko — Krynica. Wzmiankowana w połowie szesnastego wieku, tak jak Szczawnica, nazywa się zawiądzającą źródłom wód mineralnych — krynicom. Dwa wieki później zapisano, że wód krynickich używa się w celach leczniczych oraz że cieszą się one uznaniem. Na przełomie wieków osiemnastego i dziewiętnastego powstają pierwsze obiekty mające służyć przyjeżdżającym na kuracje.

W 1800 roku gości jest siedemdziesięciu. W wiek później — już sześć tysięcy. W księdze gości uzdrowiska figurują nazwiska m. in.: Adama Asnyka, Aleksandra Fredry, Artura Grottgera, Józefa Ignacego Krzaskiewicza, Jana Matejki, Henryka Sienkiewicza.

Wszystkich przyciągają krynickie wody. A jest ich naprawdę wiele i każda o rozlicznych właściwościach leczniczych. Źródło: „Główny”, „Słotwinka”, „Karol”, „Jan”, „Józef”, „Tadeusz”, „Mieczysław” oraz Zubery. Nimi regenerują swe siły i głosy: Helena Modrzejewska, Ada Sari, Jan Kiepura. Krynica staje się „perłą wód”. Grono odwiedzających powiększa się z roku na rok, a miasto — uzdrowisko rozrasta się.

Może wydawać się to absurdalne, ale właśnie rozwój Krynicy i wzrost jej popularności budzi poważne obawy o dalsze losy „perły polskich uzdrowisk”. I wcale nie są to niepokojące podstawy. Przyczyna, zwłaszcza źródła mineralne, nie ma zbyt wielkich szans ocalenia w pojedynku z cywilizacją. Wznoszenie nowych budynków, prowadzenie podziemnych rurociągów wodnych, kanalizacyjnych, gazowych, budowa asfaltowych szos, po których będzie coraz więcej pojazdów, nie wpływają korzystnie na krynickie źródła wód mineralnych.

Większość źródeł do normalnego istnienia potrzebuje przenikania przez warstwy mineralów wody deszczowej, wzbogaconej już pod ziemią dwutlenkiem węgla. Teren, na którym zjawisko to zachodzi, określa się mianem obszaru alimentacyjnego źródeł. Istnieje on także w Krynicy. Jednak zjawiska tu zachodzące nie są do końca zbadane. W każdym razie wszelkie naruszanie warunków naturalnych krynickiego środowiska może być zgubne dla

źródeł. Stąd olbrzymia odpowiedzialność Okręgowego Urzędu Górniczego w Krakowie oraz Uzdrowiskowego Zakładu Górniczego w Krynicy, bez wiedzy i zgody których na terenie uzdrowiska i jego okolic nie powinno się kopać w ziemi ani prowadzić robót na jej powierzchni. Niestety, często ktoś zapomina o skutkach, jakie może spowodować jego działalność inwestycyjna. A był już nawet ktoś tak „pomysłowy”, że marżyło mu się głębokie wykopy drążyć... dynamitem!

I bez tych działań unikalne źródła mineralne nie zawsze mają się najlepiej. Fanaberie źródło „Głównego”, który zamiast 30 litrów wody mineralnej na minutę niespodziewanie zaczął wyrzucać na powierzchnię 100—120 litrów (co spowodowało rozcieńczenie składników mineralnych), na szczęście już się kończą. W porę wykryto przyczynę: dwa pęknięcia wodociągu miejskiego. „Jan” także się zmienia — zmniejsza się ilość związków mineralnych w tej wodzie. Nie rozpoznano jeszcze przyczyn tego zjawiska, pospiesznie prowadzi się rozliczne badania.

Jest też inne potencjalne zagrożenie leczniczych źródeł w Krynicy. Jeśli na tzw. obszarze alimentacyjnym źródeł nie zmniejszy się natężenie ruchu samochodów, w wodach mineralnych mogą pojawić się związki oliwino. Do tego dopuścić nie wolno. I nie tylko w Krynicy. Liście miejscowości, gdzie winno się szczególnie dbać o ochronę środowiska poszerzylibym jeszcze o Wysową, Muszynę, Zięćkię, Zegiestów, Piwniczną, Łomnicę i Szczawę. Od przybytku uzdrowisk głowa nie powinna boleć nikogo, zwłaszcza że wtedy na pewno byłoby pod dostatkiem leczniczych wód mineralnych.

■ Pan Antoni Nawrocki z Krynicy: „Wobec powszechnych braków podręczników szkolnych i zeszytów, co już na samym początku roku szkolnego kolosalnie utrudniło naukę naszym dzieciom, proponuję rozważyć sprawę rozdania papieru. Za dużo zużywają go niektóre związki i instytucje na cele propagandowe; może zrezygnowałyby z części swoich przydziałów na rzecz pomocy szkolnych dla dzieci? I jeszcze jedno: czy nie byłoby celowe zwiększenie skłótki makulatury — na potrzeby szkolnictwa?”

■ Na terenie Grywałd brał się obecnie zdjęcia do telewizyjnego filmu Jarosław Hoffman „Cud się bołczy” — informuje pan Sław

PISZA DO NAS

Witkowski ze Szczawnicy. Dziękujemy za sygnał, postaramy się zdobyć dla naszych Czytelników obszerniejszą informację na ten temat.

■ Na kłopoty z nabyciem popularnego leku w aptece w nowosądeckim Rybku skarży się pani Maria Wisniewska. Odsyłano ją ówczesnie sprzed odcienka — najpierw po receptę, potem po legitymację inwalidzką. Rozumiemy nie-

cierpliwienie chorej osoby, ale przepisy obowiązują nas wszystkich.

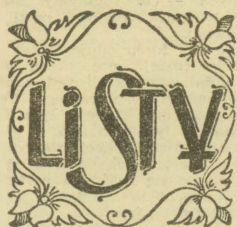
■ O braku kultury — żeby nie powiedzieć wprost: chamstwie niektórych nowosądeckich kierowców donosi pan Edward Konisiński, nauczyciel Zespołu Szkół Zawodowych w Olkuszu, opisując skandaliczny incydent, którego był świadkiem w dniu 16 sierpnia, kiedy to przy ul. Ławowskiej kierowca „ścinając”

zakręt, wpadł na chodnik, a interweniującego pieszego obrzucił stakiem wyżwisk. Numer rejestracyjny wozu znany redakcji, chętnie udoświadczymy go kompetentnym organom.

■ Kilka uwag do dyskusji w sprawie projektowanej podwyżki cen nadesłał nam pan Zygryf Dziekański z Kościeliska. Temat ten często gościł na naszych łamach; postaramy się wykorzystać wówczas uwagi naszego Czytelnika.

■ Ciekawe materiały, dotyczące historii Ziemi Sądeckiej i Podhala nadesłał nam pp. Maria Król, Stanisław Oleksy i Walenty Gielsta. Dziękujemy!

* PANORAMA REGIONU *



Z węglem po staremu — źle!

Węgla na składowiskach w Nowym Targu i w gminnych spółdzielniach jest dużo mniej niż w poprzednich latach. Zresztą tego węgla nigdy nam nie zbrzydło, byliśmy traktowani po macoszemu, mimo że zima na Podhale i wszystkie regiony województwa nowosądeckiego przybływa dobry miesiąc odchodzi. Godzi się przypomnieć, że Nowy Targ jest najmniejszym miastem w kraju. Kto nie wierzy, niech sprawdzi u meteorologów. Do tych utrapear przydanych przez naturę klimatu dołączają się kłopoty trudnego transportu.

Mamy już wrzesień i czas najwyższy, żeby węgiel był w piwnicach i składkach, jakie kto ma. Niestety, wsłuchując się w narzekania, które tylko wiatr ludzom z ust porywa. Naturalnie nie brakuje gadania w telewizji, aż można dostać ciekawki. Przecież nikt nie nakarmi zwierciada surowym ziemniakiem.

Mala ilość węgla w naszym województwie przeraża. Przeraża niemiecką administrację państwową, spółdzielczość i związków zawodowych. Politykujemy sobie i wyczekujemy manny z nieba. A tu niedługo zacznie przysyć śnieg.

Jeżeli jesteśmy blisko organizacji handlu, to zapytajmy — dlaczego za kilogram jablek w naszym województwie płaci się 50—60 zł, skoro np. w województwie przemyskim jableka gniją w sadach, bowiem nikt ich nie chce skupić od rolników nawet po 3 zł za kilogram?

Można kłać, wściekać się — a biurokracja zrobi i tak swoje, a potem będzie opowiadać o kłesze urzędaju jablek.

PIOTR NOWAK
Nowy Targ

Pomóżmy rencistom i inwalidom

Mimo, iż rok bieżący został proklamowany Międzynarodowym Rokiem Inwalidy, nie widać jakos na co dzień, by ludzie niepełnosprawni otaczani byli serdecznością. Tym bardziej warto więc odnotować każdą inicjatywę, zmierzającą do niewielkiej nawet poprawy ich losu.

Koło Polskiego Związku Inwalidów, Emerytów i Rencistów w Krynicy jest jednym z lepiej działających kół na terenie naszego województwa. Klub Seniora — mimo nie najlepszych warunków lokalowych — prowadzi ożywioną działalność kulturalno-osiwiatową; rozwijają się kółka zainteresowań. Ze spraw bardziej „przyziemnych”: zabezpieczono przysłać papierosów dla członków koła, co pozwala im uniknąć wielogodzinnego oczekiwania w kolejkach.

Chciałbym za pośrednictwem „Dunajca” zwrócić się do kryniczan z następującą prośbą: ponieważ Klub Seniora powiększa ostatnio zbory własnej biblioteki, z wdzięcznością przyjęte byłyby dary w postaci książek. Można je składać w każdą środę, od godz. 16, w lokalu Klubu przy bulwarach Dietla.

STANISŁAW KOZAK
Krynica

Kiedy w październiku ubiegłego roku odwiedziłam Nowotarskie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Podhale”, trafiłam na gorący okres tworzenia nowych związków zawodowych, zgłaszania postulatów, surowej oceny ich realizacji. Nie czas było jeszcze na podsumowanie stopnia przemian, jakie zaszły w zakładzie. Pod koniec sierpnia wybrałam się więc ponownie do Nowego Targu, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie: co zmieniło się w kombinacie w ciągu tego roku?

— Zasadniczych zmian nie ma — powiedział mi p. o. dyrektora, Stanisław Pełka. — Nadal naszym podstawowym celem jest produkcja. Oczywiście, najbardziej rzuca się w oczy jej spadek. Złożyły się na niego dwie przyczyny: najpoważniejszą stanowi brak surowców, ale też i wolne soboty nie pozostają bez wpływu na taki stan rzeczy. Już dzisiaj wiemy, że będziemy musieli obniżyć planowane zadania na bieżący rok we wszystkich uszkiełkach. Na przykład obuwia wyprodukujemy mniej o pół miliona par. W dziedzinie eksportu do drugiego obszaru płatniczego (kraje kapitalistyczne) również obserwujemy znaczny spadek; coraz mniej zamówień płynie stąd do nas. Hurtownicy obowiązują się widocznie — i słusznie — że nie będziemy w stanie wywiązać się z umów.

— A wolne soboty?
— Produkowaliśmy w te dni około dwudziestu pięciu tys. par obuwia. Obecnie nie jest możliwe nadrobienie tego. Wróćmy jednak do surowców. Sztuczne skóry na wierzchy importowane z RFN nie przyszły; po prostu

Artykuł Jana Grudnickiego pod wyższym tytułem, zamieszczony w 33 numerze „Dunajca”, spowodował ostry protest Rejonu Energetycznego w Nowym Sączu, wyrażony w liście do naszej redakcji, podpisanym przez kierownika RE, I sekretarza KZ PZPR oraz KR NSZZ „Solidarność”. Wielość podpisów i pieczętek pod wspólnym tekstem zda się wskazywać, iż treść listu odzwierciedla stanowisko całej załogi Rejonu wobec zarzutów, postawionych temuż przez autora artykułu.

Przypomnę pokrótce: Jan Grudnicki przedstawia apokaliptyczną wizję katastrofy miasta, w którym „wysiadł” cały system energetyczny. Jest to zdanie hipotetyczne, coś ze sfery science fiction — ale czy całkiem nieradne? Otóż — twierdzi autor — katastrofa taka może wydarzyć się w każdej chwili. „Skoro Rejon Energetyczny w Nowym Sączu nie posiada pełnej dokumentacji technicznej, a istniejąca jest niezręczna i panuje w niej bałagan, skoro większość linii brak jest „bezpieczników”, a dokładniej: istnieją one przeważnie na papierze, skoro nie ma podstawowych narzędzi i aparatów, a w urządzeniach panuje nieopisany wprost nieporządek, skoro od lat nie wykonuje się zabiegów konserwacyjnych zaś personel o wątpliwych kwalifikacjach zajmuje się wyłącznie pracami porządkowymi i biurowymi, dokonując suto zakrapianych „odbiorów” i pobierając, gdzie się da, tzw. „koszta”, skoro największą troską pracowników jest handel materiałami przeznaczonymi na złom, skoro cała praca polega na łataniu bieżących niedomagań — to obawy społeczeństwa stają się ze wszelkimi uzasadnione. Jeśli w ciągu ostatnich kilku lat dopuszczono do dewastacji sieci energetycznej — to jest bardzo prawdopodobne, że sieć ta przetrze czy później zawiedzie w najbardziej nieoczekiwanym momencie.”

Autor „Katastrofy” Jan Grudnicki jest elektrykiem-automatykiem, tytuł magistra inżyniera uzyskał po studiach na Wydziale Elektrotechniki krakowskiej AGH. Jest bieżącym Sędzą Wojewódzkiego w Nowym Sączu, tłumaczem w zakresie elektrotechniki. Od 28 lipca 1977 do 8 kwietnia 1978 roku pracował w nowosądeckim Rejonie Energetycznym.

Ze wspomnianego na wstępie listu RE cytuję w tym miejscu fragmenty, które są odpowiedzią na merytoryczne zarzuty:

„Zadajemy sobie sprawę, że w działalności naszej nie jesteśmy jeszcze doskonałymi, obsługujemy bezpośrednio 85 tys. odbiorców zamieszkałych na bardzo dużym i trudnym terenie, w okresie dla energetyki trudnym. Przyjmujemy

Danuta Binek

NZPS „PODHALE”

nie ma dewiz na ich zakup. Taka sama sytuacja jest z kawczakiem, laminatem, barwnikami itd. Właścicie z wyjątkiem skór surowych nie posiadamy nawet znikomego zabezpieczenia materiałowego. Do tej pory jakoś sobie radzimy; plan sierpniowy wykonany w stu procentach, ale nie w asortymencie wcześniej planowanym. O ile jest to możliwe, staramy się w miejsce brakujących materiałów podstawowych sprowadzać tkaniny na potrzeby obuwiarskiego, obuwia sportowe. Wymaga to jednak częstych zmian profilu produkcji, a od załogi zwiększonego wysiłku.

— Co z realizacją zgłaszanych w ubiegłym roku postulatów pracowników?

— Były ich setki. Cóż można powiedzieć o ich realizacji? To zależy od punktu widzenia; jeżeli przyjmiemy, że wolne soboty stanowią osiągnięcie, to załoga je ma... W przyszłym tygodniu będzie gotowe opracowanie, w którym ocenimy stopień realizacji dezzyderatów. Chcemy wówczas zorganizować spotkanie wszystkich zainteresowanych: przedstawicieli związków zawodowych, komitetu zakładowego PZPR, administracji.

— Sądzę, że sprawy, których załatwienie leżało w gestii przedsiębiorstwa, w większości zrealizowano. Oczywiście nadal pozostaje niestychanie palący problem mieszkań dla naszych pracowników. W tej sprawie chcemy w pierwszej dekadzie września zorganizować spotkanie z przedstawicielami Urzędu Wojewódzkiego.

— Jak układa się współpraca ze związkami zawodowymi?

— Z punktu widzenia administracji przedsiębiorstwa nie mogę powiedzieć, żeby była „a”. To, że wytykają nam czasem jakieś niedociągnięcia jest słuszne. Nam przecież także zależy na tym, żeby było lepiej. Zresztą o konkretnych sprawach oni powiedzą lepiej. Jedno trzeba sobie tylko uświadomić: warunki w jakich obecnie pracujemy są o wiele trudniejsze niż przed rokiem, co opóźnia, a nawet uniemożliwia realizację niektórych postulatów (np. o nieuczestniczenie budownictwa mieszkaniowego).

Tyle informacji udało mi się uzyskać od dyrektora Pełki. Przyznam, że liczyłam na więcej. Można jednak zrozumieć ową lakoniczność: Stanisław Pełka był bardzo zajęty i z trudem wy-

„Katastrofa, którą należy przewidzieć”

jęmy o świadomością każdą konstruowaną i prawdziwą krytykę pod adresem naszej działalności i wycofano z niej należyte wnioski dla poprawy jakości naszych usług w zakresie dostarczenia energii elektrycznej.

Utrzymujemy w eksploatacji urządzenia elektroenergetyczne w zdecydowanej większości wybudowane po wojnie w ramach powszechnej elektryfikacji, dostosowane do pierwotnych potrzeb, głównie oświetleniowych, obecnie tymi urządzeniami musimy zasilać odbiorców o kilkakrotnie zwiększonym poborze mocy, co powoduje zwiększenie awaryjności urządzeń oraz wymaga zwiększonej działalności profilaktyczno-konserwacyjnej i dużej operatywności brygad pogotowia energetycznego.

Nie jest winą załogi Rejonu Energetycznego, że musi utrzymywać wyeksploatowane urządzenia elektroenergetyczne, które winny być na przetrze ubiegłego dziesięciolecia odbudowane i smodernizowane. Zagadnienia te znane są na pewno nie tylko redakcji, ale i większości grona obywateli. Obecne trudności Rejonu Energetycznego nie są mniejsze, niż wynika to z sytuacji gospodarczo-politycznej kraju.

Zmyślone fantazje pana Grudnickiego oraz sposób ich opisanie świadczą o braku rzetelnej wiedzy fachowej, teoretycznej i praktycznej oraz znajomości organizacji pracy w energetyce zawodowej.”

List ten — zapewne przez nieuwagę nie opatrzonej datą — wpłynął do redakcji 28 sierpnia, w dwa tygodnie po ukazaniu się inkryminowanego artykułu. 3 września uczestniczyłem w spotkaniu z sygnatariuszami pisma, poszerzonym o udział przedstawicieli załogi. Notatkami, poczynionymi na tym

zebraniu, w pewnym stopniu mogę uzupełnić treść listu. Tak więc:

— zarzut, dotyczący suto zakrapianych „odbiorów” jest bezpodstawny. Przypadki takie zdarzały się w okresie masowej elektryfikacji; dziś już zostały wyeliminowane;

— brakuje materiałów. Część nich odzyskuje się ze złomowych urządzeń. Dramatyczna sytuacja istnieje w transporcie: limity benzyny kształtują się na poziomie 40% ubiegłorocznych. Mówiąc po prostu: niejednokrotnie nie ma jak dojechać do urządzeń, rozręczonych w promieniu 70 kilometrów od Nowego Sącza;

— dokumentacja techniczna istotnie jest niekompletna, ale wynika to z faktu, iż Rejon przejął stare, niejednokrotnie jeszcze przed wojną sporządzone plany. Tak jest np. w Krynicy, gdzie trudno po dziś dzień jeszcze dobrać, którzy przebiegają kable, z dużą niedokładnością zaznaczone na planach miasta. Niemniej cały czas trwał — prowadzone wspólnie ze służbą geodezyjną — prace nad urealnieniem tej dokumentacji;

— wspomniane przez autora „Katastrofy” wypadki porażek zdarzają się wyłącznie wśród użytkowników i wynikają z ich winy oraz niezachowywania elementarnej ostrożności. Potwierdzają to wyniki dochodzeń prowadzonych przez powoływane w takich wypadkach komisje oraz prokuraturę. Od lat natomiast nie zdarzył się taki wypadek pracownikowi Rejonu, stąd trudno się pogodzić ze stwierdzeniem o „wątpliwych kwalifikacjach”.

I tyle jako najbardziej skrótowe resume burzliwego zebrania. Świadomie przemilczam zarzuty ad personam autora, zawarte zarówno w liście do redakcji, jak i podnoszone na wspomnianym zebraniu. Rozumiem, że spowodowało je rozgoryczenie ludzi, którzy —

* PANO RAMA REGIONU *

— sierpień 1981

gospodarował trochę czasu na naszą rozmowę.

Następna wizyta złożymy w lokalu Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Jej przewodniczący, Władysław Skalski, stwierdził:

— Najważniejszym osiągnięciem minionego roku są zmiany, jakie zaszły w świadomości załogi. Ludzie zrozumieli, że sami mogą i powinni decydować o sobie, o przyszłości swojego zakładu pracy. Dowodem owej ewolucji jest obecny konkurs na dyrektora „Podhala”. Na początku sierpnia w demokratycznych wyborach powołano 11-osobową komisję konkursową, na której czele stanął Krzysztof Owczarek. Ona zdecydowała o naszym przyszłym dyrektorsze. Obecnie przez radiowęzeł i w gazecie zakładowej trwa prezentacja kandydatów. Czterech pochodzi z Nowego Targu. Jednym z nich jest obecny dyrektor, Stanisław Pelka.

— Jakże konkretnie osiągnięcia zanotował na swoim koncie Wasz związek na terenie kombinatu?

— Odpowiedź na to pytanie zawarta jest w piętnastym numerze naszej gazety. W artykule zatytułowanym „Co uzyskaliśmy od sierpnia” Tadeusz Fi-

giel pisze między innymi: „Wszystkie wydarzenia i procesy zachodzące w całym społeczeństwie i w związku miały odbicie i w naszym środowisku zakładowym (...). Trzeba jednak wymienić konkretną sprawę, którą w tym roku możemy zapisać po stronie osiągnięć. Rozliczone zostały wydarzenia roku 1976 związane ze strajkiem czerwcowym i 1979 związane z wizytą Jana Pawła II w Nowym Targu. Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przeprowadziła rozmowy z komisją rządową, które wyjaśniły mechanizm tamtych wydarzeń i ujawniły w pewnym stopniu osoby odpowiedzialne za to, co się wtedy stało. Pracownicy naszych zakładów, którzy wówczas zostali poszkodowani, uzyskali teraz pełną satysfakcję moralną i przynajmniej częściowo — materialną”.

— Jakże jeszcze zapewne mogłoby pan wymienić?

— Właściwie trudno jest je wyodrębnić. Jako Komisja Zakładowa popieramy samorządność załogi. Na terenie naszego zakładu działa 120 grup związkowych, które we własnym zakresie rozwiązują swoje problemy. Zawsze stajemy im pomocą i radą. W ich

imieniu występujemy na zewnątrz. Wśród załatwianych spraw przeważają interwencyjne, najczęściej ze sfery stosunków międzyludzkich. A więc konflikt pracownika z nadzorem, premia, wypłaty wynagrodzeń za wolne soboty. Obecnie przygotowujemy się do pracy w wolne soboty na apel KKP z Gdańska. Opracowaliśmy już ankietę, która ma zbadać opinie załogi. Przy czym, ze względu na specyfikę naszego zakładu (większość załogi stanowią chłopcy-robotnicy) praca w wolne soboty może rozpocząć się po zakończeniu prac polowych, a więc od października. Nasza załoga powołała dwie komisje: socjalną i mieszkaniową. One załatwiają to, co dawniej związki zawodowe: uczasy, wycieczki, zapomogi. Ponadto Dział Socjalny zajmuje się tym z urzędu. Powołaliśmy zespół do nadzoru realizacji naszych porozumień z komisją resortową. Staramy się także przeciwdziałać przerwom w produkcji. Na początku sierpnia dyrekcja zapowiedziała postój w pracy z powodu braku surowca. Zaprotestowaliśmy i... materiały się znalazły.

— Część postulatów załatwiono — włączył się do rozmowy Bronisław Gi-badło — głównie placowe. Najgorzej jest z tymi, które trafiły do zjednoczeń czy ministerstwa. Na nie albo wplynęły odpowiedzi negatywne, albo trzeba czekać na zmianę przepisów. Pozostał jednak szereg spraw szczególnie pilnych, np. nowa szatnia zakładowa. Miała być budowana w tym celu prze-wydziała między dwiema halami, ale skończyło się na obietnicach. I nadal kobiety z mężczyznami gniotą się w

jednym, wspólnym pomieszczeniu, które szumnie nazywa się szatnią. Zresztą stale przybywa nam nowych postulatów. Od pewnego czasu załoga domaga się, żeby zamiast pieniężnego ekwiwalentu wydawać im środki czystości.

— Ilu pracowników NZPS należy do „Solidarności”?

— Siedem tysięcy trzystu, tzn. prawie dziewięćdziesiąt procent.

— Podobno działa na terenie waszego zakładu grupa inicjująca powstanie samorządu pracowniczego?

— Już nie. Rozwiązali się, ponieważ — jak stwierdzili — nie znaleźli poparcia działających organizacji. Nie określili, za jakim typem samorządu się opowiadają i stąd ów brak poparcia. W swoim ostatnim oświadczeniu stwierdzili, że przyjmują projekt samorządu pracowniczego opracowany przez sieć 16 wiodących zakładów przemysłowych.

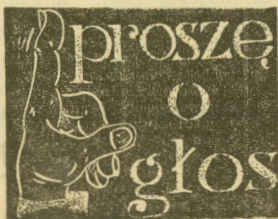
Na zakończenie Władysław Skalski powiedział:

— Uważamy, że najważniejszym zadaniem naszego związku jest przeciwstawianie się dezorganizacji trybku, a to możemy osiągnąć jedynie poprzez dobrą i wydajną pracę.

Zdaje sobie sprawę z tego, że zebra-nie przeze mnie informacje w niewielkim stopniu oddają atmosferę i sytuację NZPS „Podhale”. Nie sądzę również, żeby dały one wyczerpującą odpowiedź na pytanie: co zmieniło w kombinacie w ciągu minionego roku? Mam jednak nadzieję, że nie była to moja ostatnia wizyta w tym zakła-dzie.

mimo arcybrudnej sytuacji — starają się robić, co do nich należy, a nawet więcej, niż powinni. Wydaje mi się jednak, że powtarzanie tu pejoratywnych sformułowań — żeby nie powiedzieć: wycieczek — pod adresem autora nie do sprawy nie wnosi, a próba jego dyskredytacji nie jest najlepszą formą dyskusji. Magister inżynier Jan Grudnicki został zwolniony z pracy w Rejonie Energetycznym, a okoliczności jego rozstania się z zakładem — naświetlone przez obie strony — są redakcją znane.

Udośćpnił mi się Janowi Grudnickiemu list Rejonu Energetycznego. Oświadczanie-replika, które następnie złożył w redakcji, precyzuje niektóre zbyt ogólnikowe sformułowania artykułu. W tym miejscu zacytuję jedynie fragment, odnoszący się pośrednio do podniesionego w liście RE zarzutu „braku rzetelnej wiedzy”: „Opis katastrofy, co w artykule oczywiście zaznaczyłem, jest celowo zmyślony, a by go czytelnik zrozumiał, wiele technicznych szczegółów uprościłem i wiele pominałem. Nie zmienia to jednak faktu, że takie zdarzenie, przebiegając tak czy



Baranina wraca do łask

Podhale owcami stoi. Tradycje hodowli sięgają tu daleko w przeszłość i są nierozdzielnie związane z historią regionu. To właśnie górską owieczka stanowiła nieodłączny element hal i pastwisk w czasach, gdy „chodzowali” po nich Kasprowicz, Tetmajer czy Goszczyński.

Miały owce swoje chude i tuste lata. Przepędzano je z rodzinnych hal na równiny bądź w odległe połoniny. Z uporem godnym lepszej sprawy starano się zniszczyć wszystko co miało na Podhalu związek z tym łagodnym zwierzęciem. Na szczęście czasy te należą — mam nadzieję — do bezpowrotnej przeszłości.

W dobie obecnego kryzysu na rynku mięsnym poczciwe owce powróciły znów do łask. Mięso baranie, tak do-tąd — niestety — pogardzane, powraca na nasze stoły i chyba pozosta-nie na nich przez czas dłuższy. Trzeba stwierdzić, że w ostatnich latach notujemy na Podhalu znaczny wzrost pogołowa owiec. Obok specjalistycznych obró u kierunkowanych na pozysk skór czy wełny oraz tradycyjnych hodowców posiadających duże stada, spore zainteresowanie tą gałęzią hodowli przejawiają i małe gospodarstwa.

Mamy jesień, a więc okres, kiedy występuje największe nasilenie uboju owiec. Z uwagi na stagnację w hodo-wli trzody a także i bydła, należałoby zrobić wszystko, by pozyskać maksymalną ilość mięsa baraniego. Tymczasem tylko pewna część baraniny trafia do jednostek gospodarki społeczno-nej.

Dlaczego? Odkupu od rolników mogą dokonywać tylko masarnie, względnie

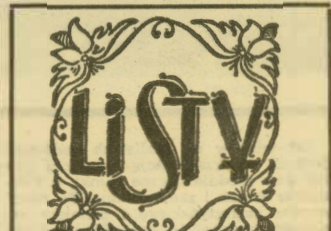
zakłady gastronomiczne. I tak też się dzieje, przyczyną zarówno jedne, jak i drugie, nie mają możliwości robić tego na większą skalę. Masarnie zakupione mięso winny przeznaczyć do produkcji wedlin względnie kierować je w stanie surowym do gastronomii. Ze jednak z samej baraniny kiełbasy zrobić się nie da, a potrzebny jest do-datek (i to znaczny) — mięsa wieprzowego, którego teraz brakuje — koło się zamyka. Pozostaje gastronomia. W tym przypadku powraca stara prawda, że popyt kształtuje podaż. Trudno więc

aby dania, które przez lata nie figurowały w żadnym jadłospisie, znalazły od-ręki gorących zwolenników. Czemu jednak nie wprowadzić szeroko sprze-daży mięsa baraniego? W istniejącej sytuacji ta dodatkowa masa nie objęta reglamentacją stanowiłaby znaczne uzupełnienie niewielkich racji, przynajmniej na jakiś okres; powiedzmy do końca roku. Pytanie to, w imieniu hodowców, a także konsumentów, stawiam pod rozwagę odpowiednich czyn-ników. Widzę także duże możliwości usprawnienia samego skupu, przez od-rzucenie zbędnego pośrednictwa zakła-dów masarskich. Po prostu rolnik posiadający „na zbyciu” mięso przywoził-by je bezpośrednio do danej placówki i po przedstawieniu świadectwa jako-sci oddaje do natychmiastowej sprze-daży.

I tutaj właśnie dochodzimy do jed-nej z głównych przeszkód na „owczej” drodze. Oto rolnik woli sprzedać mięso sąsiadowi, pośrednikowi, komukolwiek bądź, ale nie państwu, bowiem unika dodatkowych kłopotów związanych z przewozem mięsa, badania przez le-karza weterynaryj, a także — co tu dużo mówić — znacznych kosztów tego badania. Są to niewątpliwie hamulce, zniechęcające do sprzedaży mięsa sek-torowi upośleczeniowemu.

Zagadnienie skupu i dystrybucji ba-raniny winno być zrewidowane i podane głębszej analizie przez wyższe niż GS czynniki. Czas ku temu sposobny. Byłoby nie myślało i nie dyskutowa-no zbyt długo.

ANDRZEJ NIEMIEC
Maniów



Propozycje dla „Dunajca”

Nie zgadzam się z poglądami nie-ktorych czytelników „Dunajca”, iż winno się wyeliminować zeń pro-gram telewizyjny, a miejsce to prze-znać na inne materiały. Prasa ma ograniczony nakład — w tej sy-tuacji tygodnik Naksz robi dobrą robotę. Podpisuję się natomiast, pod stwierdzeniem, że za mało miejsca poświęca głosom czytelników.

A.N. Krynica

RED: Nie zamierzamy rezygno-wać z zamieszczania tygodniowego programu TV. Co do głosów naszych Czytelników — pozwalamy sobie zauważyć, że bardzo mocno wspie-rają one nasze pismo. Wiele tekstów pochodzi właśnie od naszych Czytelników — korespondentów.

Sprostowanie

W 35 n-rze „Dunajca” zamieści-liśmy wiersz Jerzego Masiora pt. „Zolnierze”, do którego — z winy korekty wkradł się istotny błąd. W 3 zwrotce zamiast ”w polskiej błota, w ziemiarki Wołynia” winno być: „w polskiej błota, w ziemiarki Wołynia”. Autora gorąco przepra-szamy.

Pana Rajmunda Bartyleza prze-praszamy za błędy, które — również z winy korekty — znalazły się w je-go tekście pt. „Kłeski żywiolowe”, zamieszczonym w 35 numerze na-szego tygodnika. Zakwestionowane przez Autora fragmenty winny brzmieć: „Okresy największego gło-du przypadały na lata 1811, 1813, 1834, 1841, 1846 i 1847” oraz: ”W la-tach 1846 i 1847 skutkiem głodu wy-stąpiła masowa emigracja, docho-dząca do 50% mieszkańców poszczę-gólnych miejscowości, na tereny nie dotknięte tą klęską (Podole, Buko-wina)”.



Inaczej, jest prawdopodobne. A na ile, może być może najbliższa zima.”
”Przyjdzie nam zapewne jeszcze nie-rzaz wrócić do tematu „energetyka”. Chcielibyśmy traktować go rzeczowo i obiektywnie, a w kwestiach kontro-wersyjnych — dyskutować, ale bez za-cietrzewienia. Wzajemnie wymyśli i o-brażanie się na siebie niczem nie słu-żą. Pragnąłbym, aby zrozumieli to ci wszyscy, dla satysfakcji których pisze niniejszy komentarz.

KRZYSZTOF DOBOSZ

TRATWY

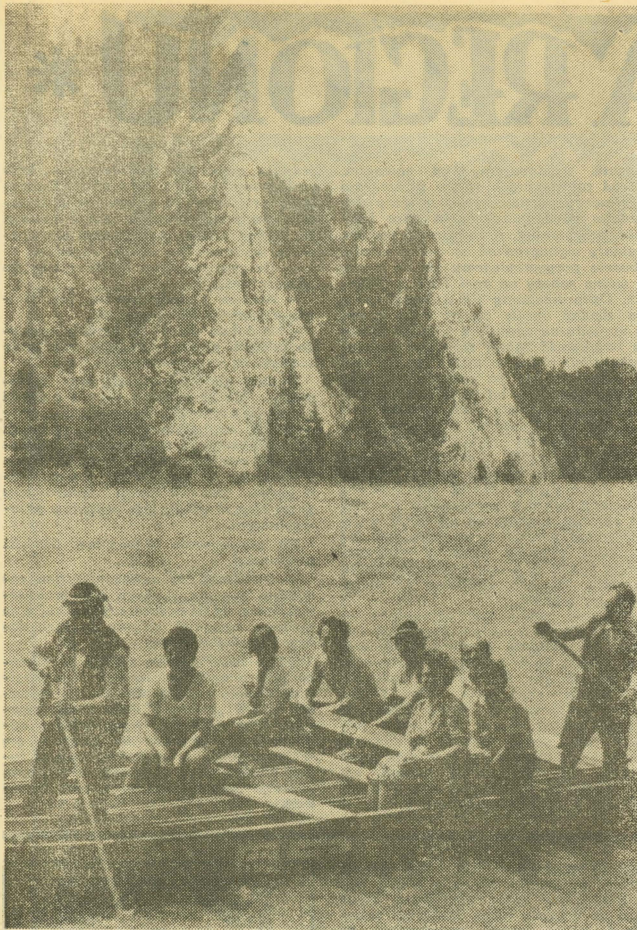
Fanie z okrzykami przestachu, unosząc długie spódnice — ostrożnie, by brzoń Boże nie odstąpiła łydek! — i wspierając się na dłoniach panów w sportowych żakietach, w modnych kapeluszach „panama”, sadowiły się na wąziutkich ławeczkach dębanych, rozpościerając nad głowami barwne parasolki. Mocno pachniała jedlnia zaścielająca dna łodek, pluskała o burty woda. Flisacy mocnymi ramionami wpierali w brzeg długie żerdzie — i już bystry nurt Dunajca porwał łodzie w dół, ku zwierającym się niegościnnie ścianom Pienin. Czy w ogóle można między nimi przepłynąć? Którędy pomkną wąskie, chybotałe czołna? Nie roztrząskają się o białe skały?

A flisacy snują opowieści o Janosiku, który właśnie tu „hipnot” z kamienia na kamień, z brzegu na brzeg, jedno ślad jego stopy w skałe pozostał, o głębokich strzałowych, o bogactwach ukrytych w pieniężnych jaskiniach, o Szwedach, którym w Sobczańskim Wąwozie (nie wierzyć, że to było w Homolach) górale zastąpili drogę. Słuchają tych bająn pani Konopnicka i pan Asnyk, i różni inni kuracjusze, co zjeżdżają do szczywnickich wód po zdrowie, nawet sam książę Karol Ludwik, brat cesarza Franciszka Józefa, i z podziwem spoglądają na strzelające ku niemu zerwy Trzech Koron, Sokolicy, Hukowej Skały. A Dunajec wije się, niesie na swych wodach dębany z ludźmi olśnionymi urodą Pienin, z ludźmi, którzy powazyli się go ujarzmić, zmusili do objawienia cudów tego zakątką gór.

Dawno już, bardzo dawno okiełznał Dunajec. Jest przecież w kościele w Krościenku malowidło z roku bodaj 1589, na którym widać tratwy spływające rzeką przez Pieniny. No a kiedy Szczawnica stała się za sprawą Szalayów uzdrowiskiem głośnym, modnym — każdy z gości uważał sobie za obowiązek przepłynięcie Przełomu dunajecim. Toteż po pewnym czasie — w 1885 roku — pobudowano nawet na Polance, nieco poniżej ujścia Potoku Pienińskiego, specjalną altankę, by można było schronić się przed deszczem.

Mijały lata, a Dunajec coraz to nowych amatorów wspaniałych emocji niosł Przełomem przez serce Pienin. I pewnie mało kto z nich zastanawiał się, z czego żyją pieniężni flisacy, czy skromne grosze, jakie pobierają za kilkunastogodzinne borykanie się z kapryśnym nurtem rzeki wynagradza trud, wystarczy na chleb, odzież, na łódkę, która ten grosz zarobić pozwala. Mijały lata, aż znalazł się człowiek, który zaprzagnął pomóc flisakom. Był nim Franciszek Kołodziejki, nauczyciel.

18 lutego 1934 roku w izbie szkolnej w Sromowcach Niżnych odbyło się pierwsze zebranie flisaków z Szczawnicy, Krościenka, Sromowiec Wyżnych i Niżnych. Zanotowano później w kronikach, że z konieczności, z musu i dla ludzi powstało to Stowarzyszenie. Jego pierwszy zarząd stanowili: inżynier Owczarek z Lasów Państwowych w Krościenku — przewodniczący, wiceprzewodniczący — Jakub Borzeczki, skarbnik — Andrzej Rgic, sekretarz, a zarazem referent oświatowy.



Od wieków na skalistych naddunajeczkich wzgórzach stoją naprzeciw siebie dwa średniowieczne zamki, a właściwie zamek i zamku ruina. To ruiny zamku czorsztyńskiego i bieleskiego na południowo-wschód od niego zamek w Niedzicy. Rozdzielone tylko zwiężającą się u ich stóp doliną Dunajca obrębną spływającymi z pieniężnych szczytów lasami oraz płaciami pól uprawnych i łąk Spisza, spoglądają na siebie nieme, dumnie i ... jakby zasępione widokiem rozciągającym się pod nimi księżycowego krajobrazu wielkiej kontrowersyjnej Budowy.

O warowni czorsztyńskiej mówiliśmy już (patrz poprzedni numer „Dunajca”), że od początków swojego istnienia ginących w głębi XIII wieku pozostając w polskich rękach strzegła naszej granicy i naszych traktów handlowych wiodących z Węgier i Orawy. Niedzicki zamek chronił zaś głównie posiadłości wielmożów węgierskich na Spiszu mając oczy załóg i działa zwrócone na północ, ku Polsce. Obie te warownie w przeszłości nie zawsze sobie przyjazne stoją teraz związane wspólnym zagrożeniem i wspólnym niepewnym losem.

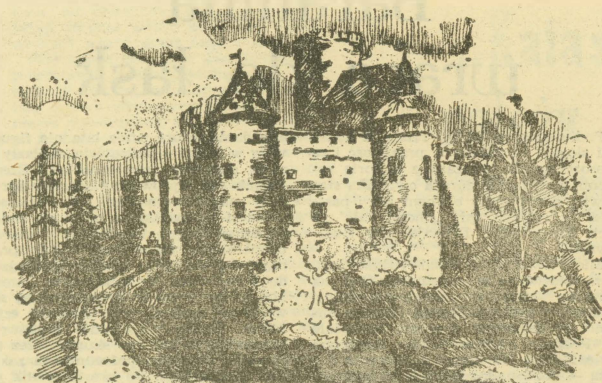
Początki zamku w Niedzicy sięgają pierwszej połowy XIV wieku. Wnieiony został on przypuszczalnie między 1320 a 1325 rokiem za sprawą Rudolfa albo jego brata Jana Berzewicznych do Stróżeń w bezpośrednim sąsiedztwie istniejącego już obronnego gródka i wsi. O gródku owym wiele powiedzień się nie da, jako że milczą o nim niemal zupełnie archiwalia. Być może istnienie swoje za wzięcia królów węgierskich Władysława I, który pod koniec XI wieku założył wzdłuż granicy na Spiszu aż czterdzieści osad wojskowych tzw. „kopijników królewskich”. Samą wieś zaś lokowaną najpewniej w XIII stuleciu. W każdym razie już w roku 1287 istniał w niej kościół parafialny.

Nowy zamek wzniesiono na trudno dostępną skałę wieńczącą niedzickie wzgórze opadające stromym stokiem w dolinę Dunajca. Do jego budowy użyto miejscowego kamienia. Składał się on z czworobocznej wieży obronno-mieszkalnej i kilku budynków skupionych u jej podnóża wokół niewielkiego dziedzińca, pośrodku którego znajdowała się drążona w skałe studnia głęboka na 90 metrów. Całą zabudowę

Andrzej B. Krupiński

Porozmawiajmy o zabytkach

NADDUNAJECKIE STRÓŻE I ZAMKI



ZAMEK W NIEDZICY

Rys. AUTOR

wokół wieży otaczał masywny, kamienny mur obronny z bramą wjazdową w jego odcinku południowym poprzedzoną mostem zwodzonym. Jednym z obiektów tego najstarszego zamku była kaplica nakryta strzelistym dachem, z wnętrzem przesklepionym kamiennym sklepieniem krzyżowo-żebrowym i z kryptą pod posadzką. Pod jednym z budynków zamkowych znajdowały się dwie kondygnacje komnat więziennych lub składowych.

Pierwszą wzmiankę o zamku w Niedzicy zawiera testament sporządzony w 1330 roku przez Wilhelma Drugetha, żupana Ziemi Spiskiej i Orawskiej. Określony on w nim został jako „novum castrum Dunaiecz”. Po raz drugi zamek nasz spotkamy w akcie zastawnym z roku 1412, na mocy którego król węgierski Zygmunta zastawił Władysławowi Jagielle 13 miast spiskich. Ustalono wówczas, że delegacja polska wy-

placi kwotę 37 tysięcy kup groszy prażskich na zamku w Niedzicy.

Od chwili swego powstania „castrum Dunaiecz” pozostawał przez 150 lat w rękach rodziny Berzewicznych. Dopiero po śmierci Jana Czarnego przeszedł on w posiadanie żupana spiskiego Emeryka Zápólyi, który go w latach 1470—1487 rozbudował i wzmocnił. Przypuszczalnie właśnie wówczas powstał tzw. „zamek dolny” obejmujący wbudowane w nowy mur obwodowy trzy baszty: basztę zwaną dzisiaj „kaplicą”, okrągłą basztę narożną, flankującą wjazd do zamku oraz basztę bramną, a także nowy budynek mieszkalny.

Po śmierci Emeryka Zápólyi w roku 1487 żupanem spiskim i właścicielem zamku został jego starszy brat Szczepan, którego syn Jan to późniejszy król Węgier, a którego córka Barbara poślubiona została przez Zygmunta Ja-

giellończyka, późniejszego Zygmunta I Starożytnego, króla polskiego. Kolejnym właścicielem Niedzicy i zamku został Andrzej Horváth, po którym zamek na krótko znalazł się pierwszy raz w rękach polskich. Stało się to za sprawą króla Jana Zápólyi, który w roku 1529 oddał mu oraz hrabstwem spiskim Hieronima Łaskiego, reprezentującego interesy Węgier wobec Turcji, człowieka o nieprzeciętnych zdolnościach, wielkiej ambicji i równej jej rozrzutności, człowieka zasługującego nie tylko na jednoznaczną wzmiankę, ale na ... historyczny romans przygodowy. To właśnie Łaski po raz drugi przekazuje zamek w posiadanie rodzinie Horváthów za 4000 guldenów, a sam rozpoczyna budowę w jego sąsiedztwie nowego zamku Falkenstein, po którym nie został się do dziś najmniejszy ślad.

I znów pod koniec XVI wieku Horváthowie przystępują do rozbudowy swojej siedziby. Tym razem Jerzy Horváth z Palocz (Pławca) buduje „zamek średni” dostosowując całość już pod względem użytkowym jak i artystycznym do wymogów późnego renesansu w wydaniu spiskim i węgierskim. Wówczas to wieża, baszty i budynki mieszkalne wieżowca zostają grzebiemiami atak, a ich ściany ozdobione graffitiami.

Trudno jest zamknąć historię niedzickiego zamku w kilkudziesięciu zdaniach, bo niemal każdy odcinek jego dziejów zasługuje na oddzielne dzieło naukowe lub powieść. Osobno należałoby zająć się czasami wojen husyckich, osobno powstań Kuruców pod wodzą Thököly'ego. Zupełnie inną wymowę miałyby opisanie jego losów w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy służył on swoim właścicielom li tylko do zabawy. Na autora oczekuje też nie napisana jeszcze książka o zwyczajach naszego zamku z połomkami ostatniego wodza Inków peruwiańskich Tupak Amaru i z ich skarbem zatopionym w andyjskim jeziorze Tikitaka.



wy — Stanisława Kotodziejska, żona inicjatora powołania związku, i członkowie — Mikołaj Gorecki oraz Jan Biel. W protokole z owego zebrania czytamy: Rola członka w Stowarzyszeniu została porównana do roli obywatela w Państwie. Stowarzyszenie to my. Praca w Stowarzyszeniu to praca dla siebie, a Stowarzyszenie może nam oddać tylko tyle, ile my sami w nie włożymy, a łącząc się pamiętajmy o tem, że w gromadzie siła. Przyjęto też oficjalną nazwę: Stowarzyszenie Flisaków Pienińskich na rzece Dunajcu.

Niemal od pierwszych dni jasne było, jak jest potrzebne to Stowarzyszenie. Sama liczba prawie stu członków świadczyła, że spływ cieszył się wielkim powodzeniem i że ujęcie go w ramy organizacyjne stawało się koniecznością. Toteż związek szybko zyskiwał sobie coraz poważniejszą rangę; nawet władze widziały w nim jedyną drogę rozwoju flisactwa, choć nie pochwały panujących w Stowarzyszeniu demokracji i szczerości.

Zarząd zabiegał o to, by flisactwo kierowało się własnymi przepisami i regulaminami, by stało się zawodem obwarowanym prawami i obowiązkami. Dlatego wprowadzono rejestrację, legitymacje, egzaminy kwalifikacyjne, ujednolicono strój. Z tym strojem do dziś są zresztą ciągle problemy: jak pogodzić wymagania regulaminu, by każdy flisak był w białej lub niebieskiej koszuli i kamizelce, jeśli sama pogoda zmusza do wciągnięcia na grzbiet grubego swetra? Ze można sprawić wszystkim białe swetry? A jakże, chciano — jednak nie zdolano

znaleźć zakładu dziewiarskiego, który podjąłby się tego zadania. Flisacy pytają również, czy dostaną specjalny przydział środków piórących, aby jasne koszule nie straszły brudem.

Wróćmy jednak do początków Stowarzyszenia. Starano się o jakiś kiosk na przystani, o szerzenie oświaty. Na przykład obowiązkiem każdego flisaka było prenumerowanie gazety, we flisackich wioskach zakładano świetlice, gdzie odbywały się prelekcje i kursy dla flisackich rodzin. Zatrudniono w Czorsztynie dozorcę, by strzegł łódek, zabiegano o załatwienie dowozu flisaków do pracy, by nie musieli przemierzać pieszo kilometrów, i przewoził dubanek ze Szczawicy z powrotem do Czorsztyna. Szczególną uwagę poświęcono egzaminom kwalifikacyjnym — na przykład sprawność kandydata do tej pracy badano w ten sposób że musiał on przeciągnąć łódź ze Szczawicy do Sromowiec Niżnych, przepłynąć pojedynczą dubanką określoną trasę, przybić do brzegu o wyznaczonym miejscu itp. Warunek, by była to łódka pojedyncza, stanowił szczególny utrudnienie — turystów wożono tratwami wiązanyymi z dwóch, a potem czterech dubanek. Stopniowo zwiększała się ilość czynności wchodzących w zakres egzaminów; zastrzyżyły się one zwłaszcza po wypadku jaki wydarzył się w roku 1938, w którym zatonął Marian Koterba, bowiem wziął na swą tratwę dziewięć zamiast sześciu osób, by mieć większy zarobek z jednego rejsu.

Pierwsze powojenne zebranie Stowarzyszenia Flisaków Pienińskich od-

było się 23 lipca 1946 roku, pod przewodnictwem Jakuba Borzęckiego. Flisactwo zaczęło się nieśmiało odradzać, ale czas nie sprzyjał jego rozwojowi. Dopiero w roku 1957 nastąpiły warunki dla ożywienia spływów Dunajcem. Podpisano też wówczas porozumienie z PTTK, na mocy którego Towarzystwo wzięło na siebie całą stronę administracyjną spływów. Miało być sukno na serdaki i portki, nowy kiosk w Sromowcach Niżnych i remont przystani w Czorsztynie, pomyślano nawet o orkiestrze, by przygrywała odpływającym turystom. Nie wszystkie jednak nadzieje flisaków się spełniły, choć ilość gości rosła z roku na rok i w 1959 zarejestrowano ich 115 tysięcy.

Zalanie przyszło w rok później, gdy w połowie czerwca 1960 r. dunajcowa fala topi 18 osób. Prawda że woda była wysoka, spieniona, ale też była niewiagą flisaków i ich brawura Spływ zawieszono tedy na długie tygodnie, a następnie przeprowadzono ostrą weryfikację wszystkich flisaków, opracowano nowy, zastrzony regulamin, wreszcie zadbano o ubezpieczenia.

W 1967 roku prezesurę Stowarzyszenia obejmując po raz pierwszy Franciszek Borzęcki. Po inżynierze Owczarku, Mrówczańskim, Smółskim, Jakubie Borzęckim, Waradziynie. Wrócił na to stanowisko znów w roku 1978. Stowarzyszenie zabiega teraz o różne świadczenia dla swych członków: ubezpieczenia, renty, stółkowe pracownicze, o modernizację przystani i podwyższenie ceny biletów, gdyż od niej zależy zarobki flisaków. Zabiega często bezskutecznie; niektóre sprawy uduje się załatwić jedynie polowicznie. A przecież nawet najlepiej zarabiający muszą odłożyć grosz na zime, powinni mieć posiłki bez „turystycznej” marży, powinni mieć bez trudu uzyskać odzież czy sprzęt. Powinni...

Tymczasem dokonuje się istotna zmiana w organizacji spływu: w związku z rozpoczęciem budowy zapory czorsztynskiej przystań zostaje przeniesiona do Sromowiec-Kątów. Trasa jest teraz krótsza, szybciej wprowadza w serce Pieniń. Można czasem obrócić i trzykrotnie, jeśli pogoda dopisze, woda płynnie bystrzej, a turystów czeka wielu na swoją kolejkę; można więc i więcej zarobić.

Ale tak naprawdę to flisakiem być

niełatwo i wybierają ten chleb ludzie od pokoleń z flisactwem związani, spotkać tu można cede rodziny, niejednemu już dawno mogły odejść na emeryturę, ale Dunajec nie puszcza od siebie. Flisactwo jest trochę narkotykiem: wiesz, że tyle jest zawodów prostszych, mniej męczących, łatwiejszych, lepiej płatnych, ale wybierasz właśnie ten. Mimo kapryśnych pogody, wrącego nurtu, nie zawsze najlepszych humorów turystów, mimo świadomości, że tam w domu czeka robota w polu, w zagrodzie.

Franciszek Borzęcki też nie ma latwego chleba na swej prezesurze. Wprawdzie Przedsiębiorstwo Turystyczne „Podhale” (po „Orbisie”, PTTK, WPGT) wzięło na siebie wszelkie sprawy administracyjne, sprzedaż biletów, transport — ale to od Zarządu Stowarzyszenia wymagają flisacy dbałości o swe interesy, o place, o warunki socjalne.

Czy trudna sytuacja kraju odbiła się na frekwencji turystów? Właściwie — nie. Wprawdzie mniej jest gości zagranicznych, lecz wyraźnie wzrosła ilość krajowych. Ma więc co robić prawie pół tysiąca flisaków, mają też co robić pracownicy „Podhala”. Ruch panuje w biurach, w kasie, nad wodą.

Nad Dunajcem tłum kotłuje się, przemieszca, tasuje, słychać okrzyki, nawoływania. I muzykę: to zespół cygański Kaciców gra turystom tęskne romanse i skoczne góralskie melodie.

Popłyne dziś tratwą numer 65 — z Franciszkiem Borzęckim. Prezes obchodzi właśnie jubileusz 25-lecia pracy na łodziach! Wiadomo — jest przecie z rodu, który flisactwem trudni się od kilku pokoleń!

Dunajcowa woda niesie nas ku Pieniom. Słonko przygrzewa, brzygi wody wywołują okrzyki przestrachu pań, jedlina pachnie mocno, a białe skały pną się ku błękitnemu niebu jak na kiczowatych pocztówkach. Aż żal się zostawiać z tą wodą, górami, z flisakami snującymi opowieści o Janosiku i Szwedach. Ale już Szczawnica, na brzegu fotograf ze zdaniami, które zrobiono nam w Sromowcach; ostatnie spojrzenie za tratwą dążącą ku przystani, skąd ją zabierze ciężarówka, by znów spłynęła na rzekę z nowymi turystami. Jak co dnia od wiosny do jesieni, jak co roku.

Jan Wielek

PAMIĘCI LEOPOLDA WĘGRZYNOWICZA (1881-1960)

W roku bieżącym mija 100 lat od urodzin profesora Leopolda Węgrzynowicza, twórcy szkolnego ruchu turystyczno-krajoznawczego w Polsce, ludoznawcy i etnografa, mocno związanego swym życiem i działalnością z Ziemią Limanowską. Z tej okazji kilkoma chociażby zdaniami przypomnieć chciałbym tę niezwykłą postać.

Leopold Węgrzynowicz urodził się 19 września 1881 r. w Tuchowie koło Tarnowa. W Dobrej, gdzie jego ojciec był kierownikiem poczty, ukończył 3 klasy szkoły powszechnej, do czwartej uczęszczał w Pilźnie, gimnazjum ukończył w Nowym Sączu (lata 1892—1900), studia wyższe na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od roku 1906 do wybuchu I wojny światowej był kolejno bibliotekarzem Towarzystwa Uniwersytetu Ludowego w Krakowie, prefektem Bursy Urzędniczej Prywatnych we Lwowie, nauczycielem gimnazjalnym w Kutach oraz Boroszowie. Od wybuchu wojny do grudnia 1916 r. służył w wojsku austriackim, po zdemobilizowaniu objął funkcję nauczyciela w Striju, w pierwszym półroczu roku szkolnego 1918/19 uczył w Nowym Targu. Potem przeniósł się do Krakowa, gdzie do chwili przejścia na emeryturę — czyli do 1950 r. — był profesorem matematyki i fizyki w VII Gimnazjum, a później w VII Liceum im. Adama Mickiewicza, udzielając równocześnie lekcji w Prywatnym Gimnazjum Zerńskim im. Królowej Jadwigi.

Od pierwszych chwil pracy zawodowej wiele czasu poświęcał Leopold Węgrzynowicz działalności społecznej. W latach 1917—20 pracował czynnie w harcerstwie, pełniąc funkcję komendanta Hufca Krakowskiego. Równocześnie — razem z profesorem Ludomirem Sawickim — organizował jako czynny członek Polskiego To-

warzystwa Krajoznawczego pierwsze w Polsce kolo krajoznawcze. Od 1920 roku redagował czasopismo krajoznawcze „Orli Lot”, w którym pojawiały się artykuły z zakresu przyrody, geografii, historii, językoznawstwa, etnografii, historii sztuki, pisane zarówno przez wybitnych naukowców, jak i młodzież szkolną. Uczniowie zrzeszeni w szkolnych kółach krajoznawczych organizowali obozy naukowe (na przykład w 1938 r. w Dobrej koło Limanowej), zbierali materiały historyczne i etnograficzne.

W 1936 r. Węgrzynowicz mianowany został stałym współpracownikiem Komisji Etnograficznej Polskiej Akademii Umiejętności, wtedy też wyróżniony został Złotym Krzyżem Zasługi.

Okupacja hitlerowska nie przerywała kontaktów Profesora z młodzieżą. Uczy wówczas w Liceum Administracyjno-Handlowym w Krakowie, współpracuje z tajnymi kompletami. Po wojnie staje do pracy w szkolnictwie ogólnokształcącym, wznowia działalność szkolnych kół krajoznawczych i wydawanie „Orlego Lotu”. Działalność ta została przerwana w 1950 r. decyzją ówczesnych władz oświatowych, a Węgrzynowicza przeniesiono na emeryturę.

Reaktywowanie działalności turystyczno-krajoznawczej w szkołach nastąpiło dopiero w 1957 r. — na czele powołanej przy Ministerstwie Oświaty i Wychowania Komisji do spraw Turystyczno-Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej znów staje Leopold Węgrzynowicz. Zamiast dawnego „Orlego Lotu” zaczyna wychodzić miesięcznik krajoznawczy „Poznaj Swoj Kraj”, rysują się powoli zryby turystyki szkolnej w jej dzisiejszym kształcie.

CIĄG DALSZY NA STR. 9)

Jerzy Masior

Jesienna dziewczyna w śliwkowym sadzie

Twoich rzęs ciemnych i z pozłoty liści
cienie mnie wzięły w swoje posiadanie —
w ciepłe południe, tam w śliwkowym sadzie.
W niewoli oczu nasze pożegnanie.

Jutro, już jutro przyjdzie oddalenie
gdzie nawet spojrzeń zbłąkanych nie będzie —
ulotna chwila do śmierci mnie spęta
i pójdzie za mną najwiewniejsza wszędzie.

W swej powolności, w swoim przemianianiu
przedej godzinę światło października;
w dotknięciu dłoni, w szepcie niesłychanym
już coś odchodzi i na zawsze znika...

Zaprosili nas

„Zarząd Wojewódzki Związku bojowników o wolność i Demokrację w Nowym Sączu na swe plenarne posiedzenie;

● Pani Anna Kulczycka oraz dyrektor Muzeum Tatrzańkiego w Zakopanem na otwarcie galerii kobierców wschodnich;

● Muzeum Tatrzańskie im. dr Tytusa Chałubińskiego, Galeria Biura Wystaw Artystycznych w Zakopanem na otwarcie wystawy dawnej rzeźby ludowej Podtatrza w fotografii Władysława Wernera;

● Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Nowym Sączu na sesję rady;

● Komitet osiedlowy „Helena” w Nowym Sączu na uroczysty apel poległych;

● Galeria Sztuki Współczesnej PSP w Zakopanem na wystawę tkanin Heleny Sułkowskiej-Pawlik i rzeźby Władysława Pawlika;

● Komitet Miejski PZPR w Nowym Sączu na swe plenarne posiedzenie.



32 ofiarom hitleryzmu zamordowanym 17. 07. 1944 r., pokoleniom ku pamięci i zadumie nad krwawymi nocami okupacji 1939—1945 r. Społeczeństwo Słopnic 1971 r.

Na rozległym płaskowyżu Beskidu Wyspowego, w centralnej części województwa nowosądeckiego, na wysokości 450—560 m n.p.m., oparta od zachodu o masywy Łopienia i Mogielnicy, a grzbiet Gorców z Cichoniem, Hałą i Ostrą, od południa — rozłożyła się wieś Słopnicze. Wiosna ogromna tak co do obszaru (4.50 ha) jak i liczby ludności (5.080 mieszkańców), stanowi ponad połowę obecnej gminy Tymbark.

to, co będzie leżało w granicach naszej możliwości..."

Napadano i likwidowano posterunki żandarmerii i policji granatowej, ginęli od kul partyzanckich niemieccy konfidenti, przepadały bez śladu mniejsze oddziały policji, SS, a nawet Wehrmachtu. W 1944 r. górami wiaład już niepodzielnie partyzanci polscy i radziecy. W drugiej połowie sierpnia 1944 r. 28-osobowa grupa partyzantów radzieckich pod dowództwem lejtanta „Aloszy” przedarła się z Beskidu Wschodniego pasmem Gorców na teren działania placówki „Kuznia”. W okolicy Wierchów w Słopnicach nastąpiło wzajemne rozpoznanie. Wkrótce potem w porozumieniu z grupą „Aloszy” oddział „Przyjaciela” — Feliksa Przykładowskiego — przy współudziale żołnierzy placówki „Trzosa” zorganizował zasadzkę na stoku Łopienia. W wyniku zaskoczenia i błyskawicznej akcji uwolniono kilkudziesięciu jeńców radzieckich przewiezionych z obozu w Sowlinach do wyrębu drzewa na lesie.

Po pierwszych strzałach jeńcy radziecy rzucili się z siekierami na prześladowców, wybijając od nogi obstawę. Wszyscy żandarmi niemieccy zginęli. Uwolnieni jeńcy w stanie krańcowego wyczerpania zostali odprowadzeni w rejon Mogielnicy, gdzie kwaterował „Zawisza” — Krystyn Więckowski i tam przez kilka tygodni pod opieką polskich lekarzy przychodzili do zdrowia, a następnie zostali przekazani do oddziału pika Iwana Zołotara na Turbacz.

Oddziały — jak podaje dr Józef Macko w książce „Góry zakwitną sadami” — partyzantki radzieckiej w Gorcach i Beskidzie liczyły w 1944 około 700 ludzi. Wiele akcji Polacy przeprowadzili wspólnie z nimi. Wzajemna była gotowość udzielania sobie pomocy zbrojnej.

Bezprzykładna odwaga partyzantów radzieckich owiana została legendami i pamięć o niej żyje do dziś wśród prostych ludzi, mieszkańców Słopnic.

liźnie przez okno i uratował się docierając w nocy do Limanowej. Na wieść o tym okupanci zażądali natychmiastowego i bezwarunkowego wydania Kulczewskiego grożąc, że w przeciwnym wypadku rozstrzelają na miejscu ujęcia 40 zakładników. Słowność obwieszczenia na tę okoliczność wydał szef nowosądeckiego gestapo Heinrich Hamann, wymieniając nazwiska przewidzianych do rozstrzelania zakładników. Potraktacje podjęte przez krakowski okręg AK o wymianie jeńca na 50 więźniów pochodzących z rejonu Podhala nie przyniosły rezultatów. Jedyną odpowiedzią były wielkie aresztowania w rejonie Tymbarku, gdzie uwięziono 38 osób, z czego część zwolniono, a część rozstrzelano 17. VII w Słopnicach.

Dokładny termin egzekucji zakładników w Słopnicach nie był znany polskiemu podziemiu, więc Inspektorat AK w Nowym Sączu zarządził pogotowie bojowe dla oddziałów partyzanckich porucznika „Adama” z Mszany Dolnej i dla placówki „Kuznia” ze Słopnic, w celu udaremnienia egzekucji zaplanowanej na pierwszą dekadę lipca. Obydwa oddziały zamaskowane poza osiedlami ludzkimi w pobliżu drogi pomiędzy Zamięciem a Słopnicami czatowały na próżno przez kilka dni na konwoju z zakładnikami. Dopiero w dziesiątej dni po zdjęciu pogotowia, rankiem 17 lipca 1944 r., zakładnicy z Nowego Sącza i z Krakowa zostali przewiezieni na miejsce stracenia.

Jadący z Nowego Sącza konwoj samochodów z więźniami i obstawą zatrzymał się „u Chaima” na Zamięciu przy rozwidleniu dróg. Szpica konwoju rozpytywała miejscową ludność o drogę do Słopnic. Słychać było, jak zakładnicy w szelnie zasnuwanym środkiem samochodu śpiewają pieśni nabożne i wykrzykują głośno swoje nazwiska; domyślali się, że jada na stracenie, lecz odcięci od światła planek samochodu nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Dom jedynego z skazańców, Wojciecha Miśkowca z Tymbarku, znajdował się w pobliżu Miejscowoli, ludzie, słysząc jego nazwisko, dali znać rodzinie.

Po krótkim postoju i rozpytaniu o drogę konwoj samochodów skręcił i odjechał w kierunku Słopnic. Dotarł do centrum wsi i zatrzymał się przed remizą. Przez dłuższy czas oczekiwano na transport więźniów z Krakowa. Po ich przybyciu skutych parami zakładników przeprowadzono przez centrum wsi na odległość około 500 m miejsce egzekucji na tzw. „Starym Cmentarzu” w Słopnicach. Oprawcy zmusili skazańców do wykopania dołu, a następnie ułożonych w szeregu na skarpie, twarzą do ziemi — rozstrzelali z broni maszynowej. Zwychni i ruszających się pijany esesman dobił pojedynczymi strzałami w tył głowy. Wszystko to obserwowali z rozpaczą i przerażeniem ukryci w pobliżu dwaj dorośli synowie Wojciecha Miśkowca, którzy przybyli na to miejsce jeszcze przed rozpoczęciem egzekucji. Próbowali ratować ojca, jednakże byli bezradni. Dostrzeżeni przez obstawę, poszczuści psami, ratowali się ucieczką. Jeden z nich, Władysław, ścigany przez psa wpadł do pobliskiej wozowni w osiedlu „U Wojcieszka”, zatraskując popieszenie za sobą wrota. Pątykiem przez szparę między deskami przekreślił „zawore” zamykając się z zewnątrz. Zdezorientowany zapachem z obory wilczur odstąpił od wrot, a przybyły za nim gestapowiec, widząc zamknięte wrota wozowni, zaniechał poszukiwań.

Najbliższy teren i okolica zostały wcześniej dokładnie oczyszczone z mieszkańców. Ponaglani okrzykami „rauss”, szczeni psami przerażeni ludzie ratowali się ucieczką. Zaszyci w najciemniejszą kąty, przeżywali chwile grozy.

Był środek pięknego lipcowego dnia, pełnia słonecznego lata 1944 r. Wokół miejsca tragedii panowała śmiertelna cisza. Nie szczykały — jak zwykle — nie śpiewały ptaki. Strach paraliżował wszystkich. W tej niesamowitej ciszy słychać było z daleka szwargot i śmiechy podchmielonych, palących papierosy oprawców.

Ukryty w zbożu Jan Polomski „Dąb”, ówczesny dowódca słopnickiej placówki „Kuznia”, z granatem w jednej kieszeni, a pistoletem w drugiej, obserwował pole. Wreszcie pluton egzekucyjny i obstawa wsiadła do stojących w pobliżu samochodów i odjechała. Na miejscu tragedii pozostały zwłoki 32 zamaskowanych zakładników. Barki, plecy i głowy skazańców poszarpane były kulami z broni maszynowej. Strzały oddano z bliskiej, około dwudzeszestometrowej odległości. Miejscowy sołtys Szczepan Sołtyś otrzymał od oddziałujących Niemców rozkaz natychmiastowego pogrzebania zwłok. Zmobilizowani przez niego chłopcy z okolicznych chałup ścigali rozstrzelanych do wcześniej wykopanego dołu. Synowie Wojciecha Miśkowca chcieli zabrać zwłoki ojca — wskutek ostrego zakazu gestapo nie pozwolono im, jednak na ich próbie zabitego obojętno kocem i umieszczono w kacie dołu, by kiedyś w przyszłości można je było rozpoznać i pogrzebać.

Zbiorowa mogiła została zasypana. W gliniastym dole zwłoki nie rozkładały się — ekshumowane w dziewięć miesięcy później, 7 kwietnia 1945 r., choć szczerzalne, możliwe były do rozpoznania. Ciało W. Miśkowca i S. J. Sobczaków z Tymbarku zabrały rodziny. Pozostałych 29 bohaterów walki o niepodległość przewieziono z należnymi honorami i pogrzebano we wspólnej mogile na cmentarzu komunalnym w Limanowej.

Na miejscu stracenia z inicjatywy grona nauczycielskiego i gospodarzy wsi młodzież szkolna, harcerze i dorośli uśpiali wysoką na kilka metrów mogiłę. Starannie pielęgnowana, przetrwała 26 lat. W 1971 r. w miejscu mogiły społeczeństwo Słopnic umieściło pomnik dłuta miejscowego artysty ludowego, Jana Kwiatkowskiego. Młodzież harcerza z miejscowej szkoły dbają, by pod pomnikiem znajdowały się zawsze świeże polne kwiaty. Pamięć o ponurych latach okupacji, o bezpardonowej walce z faszysmem, o tym tragicznym dniu 17 lipca 1944 r. jest w Słopnicach ciągle żywa.

Michał Podgórný

MORD W SŁOPNICACH

Trudne warunki bytowania i ustawiczna walka z klaskami żyłobowymi wytworzyły specyficzne stosunki społeczne i obyczajowe Słopnic. Poczucie więzi społecznej, solidarność w sytuacjach zagrożenia, wzajemne wspomaganie się i pomoc, utrwalone i zakorzenione przez pokolenia, nabrały szczególnego znaczenia w trudnych latach okupacji hitlerowskiej. Toteż ocena dystryktu oraz gestapo w Krakowie i w Nowym Sączu brzmiała: „ludność całego powiatu jest zorganizowana w jedną wielką bandę”.

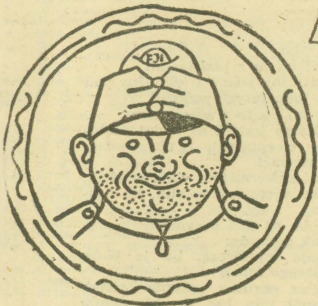
Bezdroża, trudny teren, odległość od traktów komunikacyjnych, znaczne zalesienie stwarzały naturalnie korzystne warunki dla ruchu oporu i działań partyzanckich. Narastający opór ludności, walka zbrojna liczących grup, indywidualnie i zbiorowo akcje sabotażowe słopnickich chłopów doprowadziły więc do tego, że tereny te w końcowej fazie okupacji (lata 1944 i 1945) stały się niedostępne i praktycznie wylączone spod kontroli Niemców. U chłopów gromadzono i przechowywano odebraną podstępem lub w walce żywność, broń, amunicję, materiały wybuchowe, lekarstwa. Partyzanci z różnych grup i oddziałów niszczyli pociągi z materiałami i sprzętem wojennym, zdążając na front wschodni linią kolejową Chabówka — Nowy Sącz. Napadał i likwidował mniejsze transporty wojskowe na drodze 213, tzw. „cesarce”, szczególnie na „Przylaskach”, między Tymbarkiem a Sowlinami w miejscu, gdzie las podchodził do samej drogi. (Nie więc dziwnego, że na rozkaz Müllera, komendanta niemieckiej żandarmerii w Tymbarku, wzdłuż drogi został później wycięty pas szerokości około 200 m). Z narażeniem życia powielano i kolportowano prasę podziemną. W gazecie Batalionów Chłopskich ze stycznia 1945 r. „Przebojem o Polskę Ludową” czytamy: „...my bowiem chłopcy jako dawniej tak i w przyszłości pragniemy w pocie czoła budować potęgę naszej Ojczyzny w okresie przyszłego pokoju i świądować na Jej rzecz wszystko

Przetrwiała w formie notatek w prasie konspiracyjnej tamtych czasów, zapiskach kronikarzy w izaach pamięci w Słopnicach i Tymbarku. Zawarta jest w ustnych relacjach ludzi, żyjących świadków tamtych tragicznych, a zarazem bohaterkich lat.

Teren powiatu limanowskiego ze Słopnicami i Tymbarkiem włącznie zakwalifikowany został przez okupanta jako rejon karny. Na drogach wjazdowych na teren uznany przez Niemców jako „gniazdo bandytyzmu” (Banditennest) postawiano tablice ostrzegawcze. „Achtung Bandengebiet” (Uwaga, teren okupowany przez bandy). Z rozkazu krakowskiej komendy SS, w sierpniu 1944 r. pojawiła się w Tymbarku karna kompania Mantingena, szcztakowa jednostka osławionego krwawego batalionu „Nachtigal” dla zaprowadzenia „niemieckiego porządku” na terenach opianowanych przez ruch oporu. Pozostawiła po sobie pożogi, zgłiszczą i trupy, zanim została ostatecznie zniszczona w bitwie partyzanckiej w Rogach k/Nowego Sącza. Liczne akcje odwetowe podejmowane przez okupantów: pacyfikacja, rozstrzeliwania, wieszanie zakładników, aresztowania, masowe wysiłki do obozów śmierci — nie zdołał jednak zdławić ruchu oporu i woli walki ludności Słopnic i okolicy.

Przez południowe peryferie Słopnic „na Granicach” prowadził szlak partyzancki łączący Gorce z Beskidem Sądeckim. Przy szlaku mieszkał zakonspirowany i zaprzysiężony członek słopnickiej placówki „Kuznia” leśniczy Franciszek Gęsiak. Pomagał partyzantom informacją i żywnością; zbrojne grupy ruchu oporu zatrzymywały się często w Leśniczówce na postój, nocleg, odpocznik.

W maju 1944 r. trzyosobowy patrol (Bronisław Folwarski — „Kaktus”, Stanisław Szkaradek — „Zawrat” i Mieczysław Białon — „Junak”), wstąpił do leśniczówki i natknął się na dwu przebijających tam z zamiarem polowania wysokich funkcjonariuszy niemieckich po cywilnemu. Byli to: dr Kulczewski, zastępca szefa prasowego w rządzie GG, oraz wysoki urzędnik Kolei Wschodniej Generalnej Guberni z Krakowa. Kulczewski został wylegitymowany i ujęty przez patrol, a jego współtowarzysz śpiący w sąsiednim pokoju uciekł i bie-



ANTONI KROH



SZWEJKOLOGIA

CZYLI O CZECHACH I POLAKACH

4. W BUDZIEJOWICACH

— A ty skąd właściwie pochodzisz? Prosto z Budziejowic? To bardzo się chwali, gdy ktoś pochodzi prosto skądś. A gdzie tam mieszkaż? W podcieniach? To dobrze, przynajmniej masz chłodek w lecie. A rodzinę masz? Żonę i troje dzieci? Toś szczęśliwy, bracie, będzie cię chociaż miał kto oplakiwać! (III, 3)

„Tymi słowami przemawiał Szwejk do Kunerta, ordynansa podporucznika Duda.

Jak pamiętamy z powieści, Szwejk z bezgranicznym poświęceniem, nie zważając na niezliczone przeciwności losu, dotarł wreszcie z Tabora do Budziejowic, zresztą w uroczym towarzystwie żandarm: dotarł do koszar, wyładował wprost w pace, następnego dnia stanął do raportu pułkowego, znowu wsadzono go do pałki, zaś dnia piątego cały sławny 91 pułk przeniesiono z Budziejowic do Brucku nad Litawą. Szwejk, tęgnący entuzjastycznie, wszedł do pociągu, by więcej do Budziejowic nie powrócić.

Nie zdążył więc, niestety, odświeżyć wspomnień z czasów służby czynnej. Wielka szkoda, bo na przykład samych knajp i knajpek było tu w roku 1906 ponad sto dwadzieścia.

Na samym początku zwiariowanego XX wieku mieszkało w Budziejowicach 37 173 obywateli, nie licząc wojskowych; z tego 22 450 Czechów i 14 703 Niemców. Jak to zwykle bywa w miastach dwunarodowych, wytworzyła się w Budziejowicach lokalna gwara, zw. Budweisersch — przedziwny zlepek języka czeskiego i niemieckiego. „Budweiser Zeitung” oskarżał o zachwaszenie języka niemieckiego dzieci czeskie, uczęszczające do szkół niemieckich. — Das ist hrozny! — grzmił dziennikarz. Ale niewiele to dawalo, ludzie dalej mówili po swojemu.

„stniał również niemiecko-czeski żargon wojskowy, szczególnie w Szwejkowym 91 regimencie, do którego brano rekrutów obydwu narodowości. Żołnierze mieli złote cufskire, ale dobrego obersta, pilnował ciemurtry, fasolawy komisarzek, nosili tioristry, gwery, patronaszki, broszki, tioriszunzki, feldszpaki, feldzłaszi, na ramionach mieli akselefre, zaś na pierśnask pięć czerwonych sziczenrol. Od czasu do czasu cho-

dzili z peszwerdą na frajtra do raportu. A w wojsku, jak to w wojsku, pefel jest pefel. Temat seminaryjnej pracy szwejkologicznej: przetłumaczyć niniejszy akapit na poprawną polszczyznę.

Najważniejszym zabytkiem w mieście, ze szwejkologicznego punktu widzenia, jest rzecz jasna Mariańska Kasarnia (Kosarzy Mariackie). Zajmowała ona zachodnią pierzeję placu Mariackiego, po przeciwnej stronie zaś znajdował się zakład dla głuchoniemych. Codziennie, około południa, wojskowa orkiestra towarzyszyła żołnierzom, wracającym do koszar z placu ówczesny. Gdy pofchód zbliżał się do celu, okna zakładu dla głuchoniemych wypełniały się dziećmi, które kładły rączki na szyby, poprzez drgające szkło chwytali rytm muzyki i podrygiwały do taktu.

Przed samą wojną obok koszar wybudowano kino „Grand”.

We wrześniu 1901 roku społeczeństwem Budziejowic wstrząsnęła wieść, że dwudziestoletni szeregowiec Jan Rzehorz, oskarżony o zabicie kaprala E. Blażka, został skazany na śmierć przez powieszenie w ubraniu cywilnym. Egzekucja miała być wykonana na podwórzu Mariańskiej Kasarni. Z Pragi przyjechał urzędowy kat na Królestwo Czeskie, L. Wohlschlager, wraz z pomocnikami, zatrzymując się w hotelu „Pod trzema kogutami”. Wieczorem po egzekucji w hotelowej restauracji panował straszny ścis. Restaurator, należący do czeskich „Sokolów” pochwalił się dyskretnie przyjacielowi, że pomocnicy kata zostawili mu kawałek stryczka, na którym powieszono skazańca, i kawałek podarował przyjacielowi na szczęście. Odbiorowany wygadał się, wieść gruchnęła; co chwila ktoś prosił restauratora o kawałek postronka. Oj zaczął obnosić po sali puszkę z napisem „Czeska Macierz Szkolna”, a temu, kto wrzucił do niej większą kwotę, dawał tę ceną pamiatkę. Popyt był niesłychany, również Niemcy chcieli mieć ten amulet, posyłali więcwcych czeskich znajomych do restauracji po stryczek. Im bardziej zmniejszał się kawałek linki, tym szybciej rosła jej cena — i tym szybciej pęczniała kasa Macierzy Szkolnej. Obrót restaurator, gdy nagabywano go o talizman, skoczył do sklepu naprzeciwku, „kupił” dziesięć metrów sznurka — i stworzył, jakby to dzisiaj określiło, „zabezpieczenie finansowe” organizowanego właśnie w Budziejowicach czeskiego gimnazjum...

„Ton w mieście nada-wali żołnierze. To da nich w Krumlo-wskich alejach stały ławki z czarnym napisem na oparciu: „Nur für Militär!, to dla nich przede wszystkim były domy publiczne: „Tripolis” przy ul. św. Jerzego, „Dwunastka” przy ul. Koszarowej, „Port Artur” i niemiecki „Samt und Seide”, zwany później „Blau-e Donau”.

Garnizon budziejowicki składał się z kilku pułków. Najbardziej interesuje nas 91 regiment, którego protektorem był pan generał von Czibulka. Żołnierze na ciemnoniebieskich kurtkach nosili zółte metalowe guziki i wyłogi koloru papuziowego; dlatego 91 pułk nazywany był „papagajementem”. Pstra papuga nie była w tym wypadku wszystkim, bynajmniej! Była cytatem z regulaminu.

Dziełko „Uniformen und Abzeichen der Öster-Ungarn Wehrmacht”, Lipsk 1904, podaje następujące odnienie wyłogów zielonych: jabłkowiezielony, morskozielony, morskotrąwiaszciezielony, stalowiezielony, papuziowyzielony i trawiaszciezielony. Czerwonych wyłogów było trochę więcej, dla odmiany podam je po niemiecku: Dunkelroth, Bordeauxroth, Krapproth, Amaranthroth, Kirschroth, Carmoisinroth, Scharlachroth, Krebsroth, Blassroth, Rosenroth, a gdyby tego było mało, to jeszcze Dunkelbraun i Rothbraun.

Prócz dziewięćdziesiątego pierwszego stocjonowały w Budziejowicach dwa inne pułki: 29 pułk obrony terytorialnej, czyli landwerycy, oraz 24 pułk artylerii. Artylerzyści mieli brązowe kurtki z dużymi czerwonymi mankietami, niebieskie spodnie i czarne buty oficerki, zawsze wyszczone do giancu. Na głowach nosili zwykle niebieskie czapki, lecz do paradnego munduru należało ezarne, błyszczące eżako z daszkiem i ozdobą z końskiego włosia, przymocowaną fantazyjnie z przodu mosiężnym łańcuszkiem.

Rzecz jasna, żołnierze z różnych pułków nienawidzili się wzajemnie.

„Biada artylerzyście, który wpał nocą w ręce patrolu piechoty albo odwrotnie. Szalała straszliwa nienawiść, nieubłagana wenda, krwawa zemsta, przekazywana z rocznika na rocznik, podsykana z obu stron opowieściami, jak to artylerzyści wrzucili piechociąki do Wełtawy albo odwrotnie. Jak się

bili w „Port Arturze”, „Pod Różą” i w innych licznych lokalach południowoczeskiej metropolii.” (II, 2)

Budziejowice lubily świętować. Szczególnie uroczystość obchodzona urodziny Najjaśniejszego Pana (18 sierpnia) oraz rocznicę jego wstąpienia na tron (2 grudnia). Na sześćdziesięciolecie panowania monarchy, 2 grudnia 1908 roku, oddano do użytku nowy dworzec kolejowy, uruchomiono dwie linie tramwajowe oraz postawiono pierwsze latarnie elektryczne, oczywiście luko-

we. W czasie wojny ilość uroczystości znacznie się nasiliła. Świętowano każde większe zwycięstwo, rzeczywiste lub problematyczne. Orkiestry wojskowe defilowały przez miasto, uczniowie mieli wolne, odprawiano dziękczynne msze. Padł Belgrad, świętowano, mimo że wkrótce został odbity z powrotem. Po dwóch tygodniach zdobyto go po raz drugi, znowu świętowano.

Niestety nie jeździł już wtedy po Budziejowicach trolejbus, przedmiot wielkiej dumy mieszkańców, pierwszy trolejbus w Europie. Na początku wojny trolejbus zmobilizowano, wprawiono weń jakiś motor i wysłano na front.

Frantosek Rada, mój nieoceniony informator, opowiada o tym trolejbusie piękna, bardzo ludzka historię. Pewien jego znajomy, budziejowicki rodak, został jak wielu innych wcielony do armii austriackiej. Przeszedł przez całe wojenne piekło; zabito mu przyjació, był ranny, oblażył go wszy, cierpił głód i pragnienie, zdeptał niezliczo-e pobojowiska. Trzymał się jednak bardzo dzielnie — aż któregoś dnia, w Galicji Wschodniej, zobaczył w przydrożnym rowie jakiś zdruzgotany wehkuł, który wydał mu się dziwnie znajomy. Podszedł bliżej i rozpoznał budziejowicki trolejbus. Wtedy siadł przy drodze, rozplakał się, zasnął i nie był w stanie iść dalej.



PAMIĘCI LEOPOLDA WĘGRZYNOWICZA

(CIĄG DALSZY ZE STR 7)

Na osobne podkreślenie zasługuje działalność naukowa Leopolda Węgrzynowicza. Przez całe życie metodycznie zbierał materiały etnograficzne, które publikował nie tylko w „Orlim Locie”, ale i w wielu fachowych czasopismach. Kilka obszernych artykułów traktuje o kulturze ludowej Beskidu Wyspowego — jest to cenny przyczynek do bibliografii etnograficznej Ziemi Limanowskiej. Za zasługi na niwie dokumentowania kultury ludowej Polskie Towarzystwo Ludoznawcze mianowało Węgrzynowicza swym Członkiem Honorowym. W roku 1956 uchwala Rady Państwa Profesor odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, PTTK nadało Mu Złotą Odznakę Honorową, w 1958 r. otrzymał tytuł Zasłużonego Nauczyciela Polski Ludowej.

Zmarł 11 sierpnia 1960 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Dobrej — wsi, którą uważał za swą rodziną i w której spędził wszystkie wolne chwile.

Pisząc te słowa mam przed sobą jeden z numerów „Biuletynu Krajoznawczego”, poświęconego postaci Leopolda Węgrzynowicza. Krótki życiorys, podkreślente jego zasług dla Muzeum

Etnograficznego w Krakowie, wspomnienia osobiste różnych osób, malujące Węgrzynowicza jako wspaniałego człowieka i wychowawcę. Oto fragment jednej z wypowiedzi:

Profesor Leopold Węgrzynowicz to człowiek o niespospolitym umyśle, o mocnym charakterze i przedziwnej dobroci serca...

To człowiek o niespospolitym umyśle... przy całym swoim entuzjazmie dla dzisiejszej cywilizacji nie ukrywał jednak obaw o losy ludzkości i dlatego — widząc jej ocalenie jedynie w powrocie do zdrowych nurtów życia i niespożytych wartości kultury narodowej, a zwłaszcza ludowej — oddał się z całym pietyzmem i bez reszty badaniu kultury ludu zamieszkałego nase Beskidy. Godny spakobierca Seweryna Udział i tyłu innych badaczy obyczajów naszego ludu.

To człowiek o mocnym charakterze... człowiek niezłomny, zdrowych zasad życiowych, których nigdy nie zdradzał do tego stopnia, że gotów był ponieść największą ofiarę, aby tylko nie sprzeniewierzył się swoim idealom. Do ostatnich chwil życia pracował bez wytchnienia, przygotowując do druku cenne materiały. Tytan pracy, istotnie godzien naśladowania przez wszystkich pojmujących poważnie swe obowiązki wo-

bec ukochanej Ojczyzny, w dobre jej rozbudowy.

To człowiek wielkiego serca... Miał je zawsze czule na wszystko co dobre i piękne, ale jego największą miłością był ukochany kraj i jego góry, jego lud i jego młodzież. Te trzy miłości krzewił koto siebie, gdziekolwiek Mu pracować przypadło. Wielki twórca krajoznawczych kół młodzieży, umiał wpoić w młode pokolenia zrozumienie i umiłowanie wyższych wartości życiowych, zdolnych zaspokoić najśmielsze nawet aspiracje każdego myślącego człowieka. Te trzy swoje miłości przejawiał w szczególności sposób w stosunku do miejscowości swojego dzieciństwa — ukochanej Dobrej w powiecie limanowskim...

Ziemia limanowska pamięta o swoim wielkim sympatyku. Corocznie w ostatnich dniach maja limanowski Oddział PTTK wspólnie z Kuratorium Oświaty i Wychowania w Nowym Sączu zaprasza młodych turystów — członków Szkolnych Kół Turystyczno-Krajoznawczych na trasę Ogólnopolskiego Rajdu im. Leopolda Węgrzynowicza. Corocznie też delegacja rajdowców składa wiązankę kwiatów na jego grobie. Towarzystwo Miłośników Ziemi Limanowskiej przygotowuje skromną ekspozycję o tym dziwnym i wielkim nauczycielu, który nauczanie matematyki i fizyki potrafił zespolic z uczeniem miłości do Ojczyzny, do gór i turystycznych wędrówek, i do wszystkiego co stanowi Polskę.

JAN WIELEK

TWOJEMU DZIECKU

Eliza Orzeszkowa

O RYCERZU MIŁUJĄCYM

Bywają na świecie ludzie nader silni, od wszelkiego zła silniejsi, którzy gdyby największa przeszkoda na drodze ich sławoty, jak piórko z drogi ją zmiota, taka w nich moc! A jaka to moc? Zgadnijcie! Nie zgadujecie? Słuchajcie tedy; opowiem.

... Było raz zdarzenie takie: Legł pośród drogi, którą ludzie chadzali, jeździli, kamień takiż

wielkości okrutnej, że ni przejeżdż, ni przejechać bezpiecznie nikomu ni jak nie dawał. Jednym się o niego koła potrzaskaly, inisi przez niego upadków śmiertelnych doświadczyli, inisi jeszcze z daleka objeżdżać go zmuszonymi byli. Ile od tego srogiego głazu poszło po ludziach frasunków i smutków, ile zgryzot, przecieryanych, robót nie spełnionych, utrat poniesionych — nie zliczyć!

Skąd ten głaz wziął się? Nie wiadomo. Ziemia go zapewne sama na strapienie człowiecze wydała, boć wszyscy wiedzą, że karmicielką będąc, macierz ta nasza zarówno

i trapiicielką dziadkom swym być, a ku ich trapieniu potwoży srogie wydawać z siebie umie, O umie!

Ale przebrała się raz cierpliwość ludzka, kto żyw, do kupy zbiegał się i hejże wszyscy razem przeciw spólnemu nieprzyjacielowi!

Jako galezie przystępu dookoła pnia dębowego, tak ramiona co najsiłniejsze dookoła głazu się opłoty i hej! ho! w górę! silniej! wyżej!

Jeszcze raz! Jeszcze raz i dziesięć i sto razy! Nie! Jak tkwił tak tkwił w ziemi świętej, spośród mchu brunatnego, co go obrasta, białe zęby wyszczerzające z posmiewiskiem.

Tedy stanęli ludzie biedni w zasmuceniu wielkim, ręce popuszczali i milczącoga głucha na nich spadła. Nic nie mówią, nie nie zamierzają, żeby tylko cisnęli i z nogami, jakby w ziemię przez nieszczerzanie wkopanymi, sto ją, Oj, Oj. Wtem, widzą, ktoś na koniu drogą nadjeżdża, a że droga leśna była, więc co wyblynie spośród drzew promień słoneczny, to mu w helmie wysokim niby gwiazde złota, niby diament tęcza świecący zapali.

Pan, nie pan; rycerz, nie rycerz! Chyba rycerz, bo helm ma nad głową i odzież gdzieindziej od stali poblyskująca. Oblicze zaś rycerza jaśniało od piękności takiej, takiej jakiejś anielskiej albo niebiańskiej, że gdy przybliżył się i konia powstrzymał, ludzie wnet ufnosć do niego poczuli, a biedzie swej rozpowiadać mu zaczęli, a narzekać rozprowadając.

— Tak i tak, jasnie wielmożny panie — rozpowiadają — takie i takie zdarzyło się nam nieszczerzanie.

Patrzaj, aż na jasne oblicze rycerza najmilsza dobroć występuje i z konia zsiadał on zamierza.

— Ja wam — mówi — kamień ten z drogi odruczę.

— Oni na to z podziwem: — Gdzieżby jasnie wielmożny pan dla nas taką fatygę ponosił!

A on im na to z uśmiechem: — Dlatego jestem na świat posłany, aby cierpiących i ukrzywdzonych ratować!

— Oni znów na to z wątpliwością: — Nie wystarczy tu siła, by największa.

A on im na to z oczyma błyszczącymi jak gwiazdy: — Moje wystarczą, bo je biorę z miłującego serca.

Tu głaz okrutny rękoma opasał, wstrząsnął nim tak, że aż ziemia stęknęła, aż oblicze zalało mu się zdrojem potu i z ziemi go wywawyszy, w las daleko odrzucił. Tylko w powietrzu zagrzmiotało od runięcia głazu na świerki i sosny, które jak trzciny łamały się pod nim z trzaskiem niowypowiedzianym.

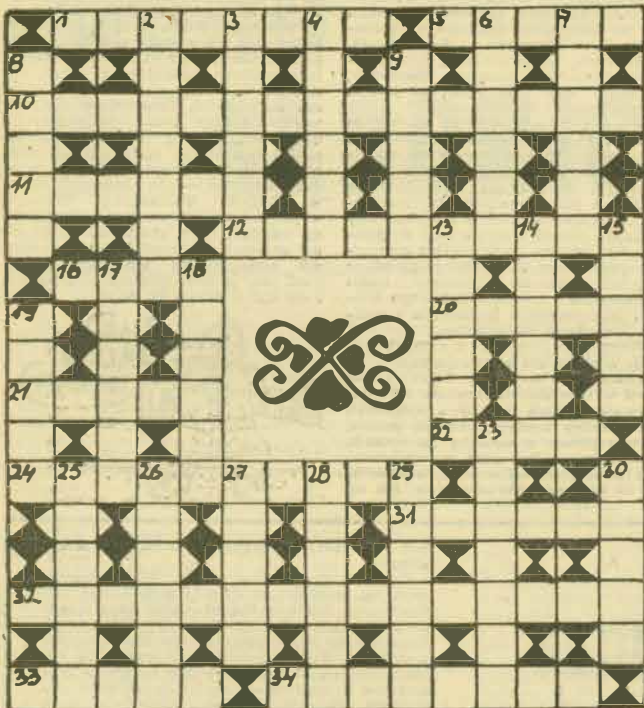
I uciicho. Droga przed ludźmi leżała równa gładką, a po twarzach skrzydło anielskie pisało litery radości.

Rycerz znówu na koń wsiadł i pięknie ukłoniwszy się, pojechał dalej, cierpiących i ukrzywdzonych ratować.

Silny był, silnyż! A skąd w nim była ta obrzymowa moc?

Z serca miłującego — mówi.

O! w sercu miłującego, widać, tkwiła ta moc obrzymowa, co największe zło przemoc zdoła.



Krzyżówka nr 38

POZIOMO: 1) przedsiónek, 5) dziś tu Jutro (tam, 10) opiera się na danych statystycznych, 11) dla pilota, 12) obowiązkowe świadczenie w naturze, 16) ukosnik, 20) lokum Aldony, 21) na początku pięciolini, 22) różnica poziomów wody powyżej i poniżej zapory, 24) transporter, 31) szuler, 32) zbieractwo, 33) księżka z mapami, 34) szmela.

PIKOWO: 2) trzeźwa ocena rzeczywistości, 3) słaski taniec ludowy, 4) między dwoma promieniami koła, 6) błonie, 7) przedrzęzysta tkanina, 8) bywa w barszczu, 9) spoty, zatargi, 13) pisarski luk, 14) dzieło Werkillusa, 15) autor "Przygód Iksa", 17) na południe od Puszczy Białostockiej, 18) wysokie kępy zwartej roślinności na stepie, 19) sprawunek, 25) efekt nadwyżki czegoś, 29) mełnik, sprawozdanie, 30) miłośnik piękna, 27) szersza część młota, 28) zbieg trzech planetarnych, 30) dzieli budynek na kondygnacje.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 24 września.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 35

POZIOMO: 1) Mazowsze, 5) scisk, 10) przeświadczenie, 11) licza, 12) drobnotka, 15) fuks, 24) rotor, 21) wanad, 22) Kilt, 24) miasteczko, 31) cyprys, 32) nieporozumienie, 33) Laura, 34) standard.

PIKOWO: 2) zderzak, 3) wywiad, 4) ziarno, 6) Cheap, 7) snisek, 8) Opole, 9) ocean, 13) obrzęk, 14) teteni, 15) adres, 17) ulanka, 18) surdut, 19) Tuwini, 23) impreza, 25) iglica, 26) stoper, 27) Eltra, 28) zarzut, 29) Ochman, 30) aster.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 35 nagrody wylosowały: pani Maria Draczyńska z Kielc i pani Anna Teresa Kaszowicz z Gorlic. Gratulujemy!

SPORT

PIŁKA NOŻNA

KLASA MIĘDZYKOLEGOWA

9. IX: Grybowia — Kolejarz Stróż 0:5, Tarnovia — Unia Niedomice 5:0, Rediowa — Błękitni Tarnów 1:0, Chemik Puskow — Igloopol Debica 0:1, Harnas Tymbar — Start N. Sącz 1:1, Sandecja — Limanovia 4:0, Okocimski — Dunajec N. Sącz 2:4, BKS Bochnia — Wisłoka Ib Debica 1:1.

13. IX: Start — Okocimski 0:1, Wisłoka Ib — Chemik 2:1, Igloopol — Radwiova 5:0, Kolejarz — Dunajec 1:1, Limanovia — BKS 3:1, Błękitni — Sandecja 3:5, Unia — Harnas 3:2, Grybowia — Tarnovia 0:4.

1	Igloopol	13	24:7
2	Tarnovia	7	12:18:4
3	Start	12	16:8
4	Dunajec	11	14:6
5	Sandecja	10	18:10
6	Kolejarz	10	14:5
7	Chemik	10	12:6
8	Limanovia	9	15:11
9	Radwiova	7	9:15
10	BKS	6	10:12
11	Unia	6	11:19
12	Okocimski	5	10:17
13	Wisłoka Ib	5	8:16
14	Harnas	5	10:20
15	Grybowia	5	7:30
16	Błękitni	0	6:20

KLASA WOJEWÓDZKA

13. IX: Motor N. Targ — Poroniec Poronin 4:0, Turbacz Mszana D. — Ogniwo Piwniczna 2:0, SN PTT Zakopane — Wierchy Rabka 0:1, Dunajec Ib N. Sącz — Sokół N. Sącz 5:1, Poprad Ryto — Sandecja Ib 2:1, Muszyna — Szechel Lubiec 1:0, Glinik Ib Gorlice — Zawada 2:1.

SPORT



Pewien lis upodobał sobie kury u mojego znajomego gazdy do tego stopnia, że w gospodarstwie został tylko doradny kogut, natomiast reszta stada powędrowała do żoładka głodnego rudzielca. Gazda ów, dawny myśliwy i nasz kolega Władzio, os nad asy w walce z lisami nie mógł w żaden sposób zdobyć przybłędę, mimo, że wyzerpał wszystkie znane sobie sposoby. Odzalaował więc tego ostatniego

koguta: w zagajniku obok swojego domostwa uwiązał go żywego do drzewa i zatoladowawszy dubeltówkę grubszym strumem ukrył się obok na drzewie. Po kilku dniach oczekiwania zaczął jednak podejrzewać, że lisura podał tyły i de-

finiwnie opuścił okolicę, ale zawziętość wzięła górę nad logiką i cierpliwością. Któregoś dnia jednak zdjęty głodem Władzio poszedł do domu coś przekąsić i po powrocie — o zgrozo — zastał pod drzewem tylko nogę, za którą kogut ów był przywiązany.

Szweska pasja, w jaką wpadł nasz znajomy nie da się opisać. Porzucił wszystkie, że tak powiem uczciwe sposoby gry tzn. powiesił dubeltówkę na kalku i zmontował kilkanaście pułapek, a więc: wyniki, samolapy, potrzaski, sz-

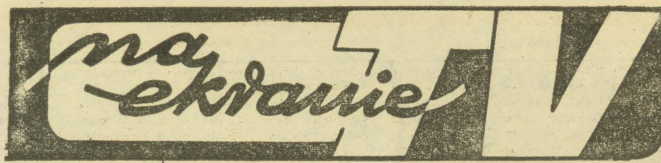
monstrzali. I rzeczywistość: następnego dnia lisura siedział w pułapce, zaś Władzio dopadłszy go naręcznie, zaniósł do pustego już kurnika, zamknął na cztery spusty, po czym jął obmyślać sposób zemsty. Ale ze tego wieczoru siasiad zaprosił łowcę na śliwowiec, więc

wykonanie wyroku odłożone zostało do następnego dnia.

Nazajrziuz zdołał naszemu goździe minęło o tyle, że lis tylko dostał zamieniem łanie i wrócił pod klucz do kurnika, zaś po trzech dniach „odsidił” rudy, kolejny raz obity, kopniakiem pod ogon został odestany do lasu.

Od tego wydarzenia, czy to dlatego, że lisurze obrzydły do cna kurze zapachy, czy też zmienił rewiry działalności — w całej wsi przez lata nie zginęła żadna kura. I dopiero w jakimś czasie później wyszedł na jaw drobny szczegół wspomnianych łowów: koguta spod drzewa buchnął Władzioży sąsiad, był następnie postawić go jako zaarychę do śliwownicy, którą owego wieczora łowcę uraczył...

STANISŁAW SIMIŃSKI



animacji, tajemnice i sensacje malej „Ografi „Drzew: icta- zczone”;

ŚRODA

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS; 6.00 Dia szkół: chemia, kl. VIII - „Mietan”; 6.10 Dia szkół: muzyka, kl. I - „Co sly- chac”;

PROGRAM II

- 18.55 Program dnia; 19.00 Kronika (Kr.); 20.00 Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” - koncert inauguracyjny (transmisja z 4 filharmonii narodowych); 21.55 24 godziny; 22.05 Film tv na świecie - „Czej ojca swego” - dramat społeczno obyczajowy o produkcie kanadyjskiej;

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS; 6.00 Dia szkół: zoologia, kl. VII - Świat istot jednokomórkowych; 6.00 Dia szkół: język polski, kl. I lic. - „Homer - „Iliada”;

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS; 6.00 Dia szkół: język polski, kl. 5 - Maria Koponicka; 6.10 Dia szkół: „Czerwone, złote, zielone”, kl. 1-3 - „Ważny, ważniejszy, naj- ważniejszy”;

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS; 6.00 Dia szkół: zoologia, kl. VII - Świat istot jednokomórkowych; 6.00 Dia szkół: język polski, kl. I lic. - „Homer - „Iliada”;

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwila redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

PIĄTEK

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS; 6.00 Dia szkół: program dla kl. 3 - Pom- niki Warszawy; 6.55 Dia szkół: geografia, kl. 6 - „Na kra- cach Polski”; 11.00 Dia szkół: wychowanie obywatelskie, kl. 7 - „Celowo, sprawnie i z korzy- ciał”;

- 18.55 Program dnia; 19.00 Kronika (Kr.); 20.00 Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” - koncert inauguracyjny (transmisja z 4 filharmonii narodowych); 21.55 24 godziny; 22.05 Film tv na świecie - „Czej ojca swego” - dramat społeczno obyczajowy o produkcie kanadyjskiej;

SOBOTA

- 6.00, 6.30 TTR; 6.00 Dia młodych widzów: „Sobótka” - „Budzik” w programie film z serii „Wspaniały świat „Walt’a Disney’a” - „O chłopcu, który ukradł stonia” (1); 15.40 Program dnia; 15.45 „Radar”; 16.00 Dziennik;

- 17.45 Program dnia; 17.50 „Pierwsze porwy” (3) - serial fa- bularyjny; 19.00 Kronika (Kr.); 19.00 Dziennik; 20.00 Koncert muzyki poważnej;

- 4.20 Pionierska Jaskółka; 11.10 „Mściciel Kadaitcha” - film z serii „Goręcza złota”; 12.10 Trąbka oborowa; 13.30 Międzynarodowe zawody jeździeckie o Wielką Nagrodę TV CSRS;

18.IX-24 IX

NIEDZIELA

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR; 6.00 TTR, RTSS; 6.00 „Alarm przeciwpożarowy trwa”; 7.20 „Nowoczesność w domu i zagrodzie”; 8.00 „Tydzień” magazyn rolniczy; 8.40 „Telewizjada”; 9.00 Dia młodych widzów: „Teledanek TDC” - w programie film z serii „Wspaniały świat „Walt’a Disney’a” - „O chłopcu, który ukradł stonia” (2); 10.20 Program dnia; 10.25 „Antena”; 10.55 „Pomniki historii na pustyni” - se- rial dok;

PROGRAM II

- 12.55 Program dnia; 13.00 „Krotkofalowy” - program wojsko- wy; 13.30 Telewizja młodych „C.d.n.” - „Decy- zje”; 14.00 „Przeboje tygodnia”; 14.00 Teatr wspomnień - Adam Mickiewicz Pan Tadeusz” księga 3 - „Umizgi” scenariusz i reżyseria - Adam Hanuszkiewicz;

TV BRATYSŁAWA

- 8.20 Chodźcie z nami...; 10.45 Zwiędziało tygodnia; 11.15 Bieg Rudego Prawa - transm. bezp.; 12.30 Koncert polonowy; 12.30 Mistrzostwa CSRS w tenisie; 15.00 Międzynar. zawody jeździeckie o Wiel- ką Nagrodę TV CSRS;

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 12.30, 14.00 TTR, RTSS; 15.55 NURT - przygotowanie i stosowanie środków dydaktycznych „Projektes- kop, fotogramy i fasogramy w prak- ce szkolnej” - (Poznań); 16.25 Program dnia; 16.30 Dziennik; 17.00 Dia dzieci: - „Zwierzyniec”;

PROGRAM I

- 17.30 „Dom i my” - magazyn informacyj- no-poradnikowy; 17.45 „Ród Gasienicow” (6) - „Zydzor, wnuk Jedzka Krwawego” - ostatni odcinek serialu; 18.50 Dobranoc - „Zółwik”; 19.00 Echa stadionów; 19.20 Dziennik; 20.00 Rolnicze rozmowy; 20.10 Teatr telewizyjny - Edward Redliński - „Wesełek” reż. - Andrzej Konie- wicki; Bronisław Pawlik, Jerzy Boń- czak, Gabriela Kownacka, Gustaw Lutkiewicz;

PROGRAM II

- 18.45 Program dnia; 19.00 Kronika (Kr.); 19.20 Dziennik; 20.00-21.55 WIECZÓR EGIPSKI W TELE- WIZJI POLSKIEJ; 20.05 Tranzjem w Egipcie film dokumen- talny o zabytkach Kairu, Aleksandrii, Luksoru; 20.20 Gość wieczoru - red. Mariusz Bor- kowski; 20.30 Odwiedzni budowniczoie - film dok. nawiązujący do historii egipskiej archi- tekturey; 20.45 Gość wieczoru - dr Marek Marciniak (geopolog); 20.55 Z wyspy File na Adzelkia film dokumen- talny o rekonstrukcji świątyni przeniesionych z zatopionej wyspy File na wyspę Adzelkia;

WTOREK

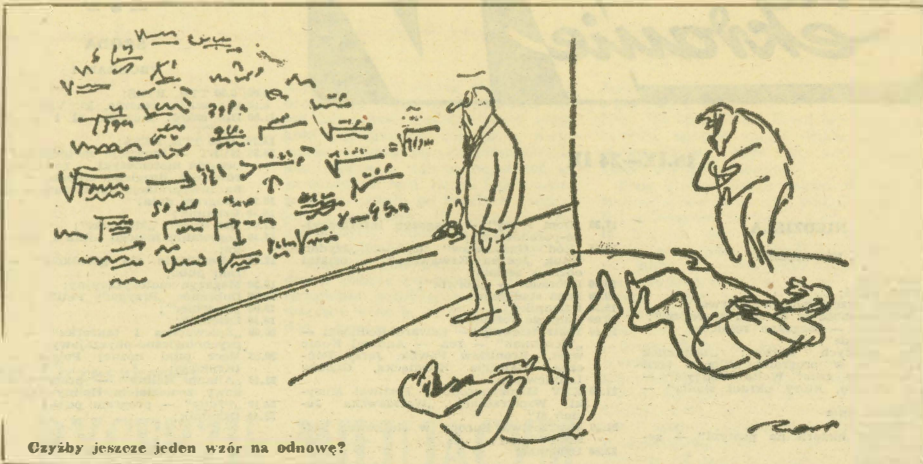
PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS; 6.00 Dia szkół: język polski, kl. 5 - Maria Koponicka; 6.10 Dia szkół: „Czerwone, złote, zielone”, kl. 1-3 - „Ważny, ważniejszy, naj- ważniejszy”; 6.10 Dia szkół: plastyka, kl. 3 - „Z Szy- monem Kobylhiskim spotkanie 1”;

PROGRAM II

- 16.55 Program dnia; 17.00 Dziennik; 18.00 Kronika (Kr.); 19.00 Dziennik; 20.00 „Sensacje z przeszłości” - „Na tro- pach skarbu koronnego” (Kraków); 20.30 Wtorek melomana - „Z konkurso- wych nagran AKIKO EBI”; 21.30 24 godziny; 21.40 Wcześór filmowy - w programie: ki- no miniatur - nowosci węgierskiej

REPERTUARIUM KIN... CZARNY DUNAIEC: tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej... GORLICE: 17-27 Człowiek z żelaza... LUBIEN: 21 Kobieta i kobieta... DUNAIEC - tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej...



Czyżby jeszcze jeden wzór na odnowę?

Andrzej Grabowski

Fistaszki

POWAGA

Jeszcze dla wielu
sprawą honoru
jest brak
poczucia humoru.



KOŁOWACIZNA

W tym nieustannym kieracie
nie wiadomo już gdzie wróg,
a gdzie przyjaciel.



NBP

Nie mogą już patrzeć biernie
na tę Papiernię.

Jacek Chruścielewicz

Fraszki

RZADKA SATYSFACJA

Niezwykle rzadko w życiu tę
satysfakcję masz,
Byś mógł dać w pysk takiemu,
co dawno stracił twarz.

REGUŁA

Z reguły czym dłuższa oracja,
tym bardziej wątpliwa w niej
racja.

O SKORUMPOWANYM

Nie dość, że tkwi w bagnie,
to w dodatku — na dnie.



Kura i świnia podpisały umowę kooperacyjną. Efektem tej umowy miały być jajka na bekonie. Kura zgodnie z umową znosiła jajka, świnia — nie wiem

KOOPERACJA

w jaki sposób, ale dla dowcipu nie ma to większego znaczenia — dawała bekon. I gdy kura utrzy-

mywała się w dobrej kondycji, świnia marniała w oczach. Kiedy poskarżyła się kurze, usłyszała odpowiedź: z kooperacją tak już jest. Jedna strona zawsze traci..

DROBIAZGI

Szef odwiedza chorego urzędnika:
— Podejrzałem, że pan symuluje chorobę panie Smith. Ale teraz z przyjemnością konstatauję, że jest pan poważnie chory...

— Skąd tak dokładnie wiesz, że twój mąż woli blondynki?
— Bo przed tygodniem jego sekretarka przefarbowała sobie włosy.

Szkot Wilkie wraz ze świeżo upieczoną małżonką udał się w podróż poślubną. W Dover kupił jej bombonierkę. W Paryżu

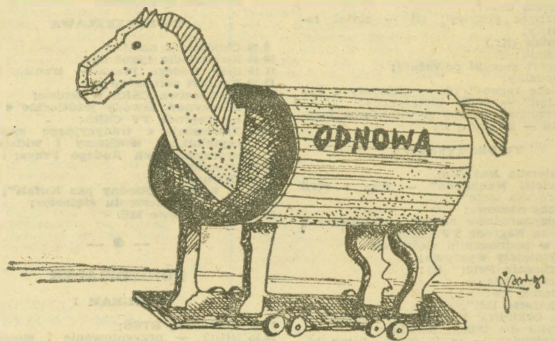
dał jej jedną czekoladkę, w Berlinie — drugą. Ale kiedy poprosiła go w Rzymie o dalsze, powiedział: „Już nie kochanie. Te ostatnie zostawimy dla dzieci!”

Matka małego chłopca zwraca się do lekarza:

— Wydaje mi się, panie doktorze, że honorarium, jakiego pan żąda za wyleczenie Jaszy z wietrznej ospy, jest wygórowane.

— Przecież odwiedzałem go i badałem w czasie choroby czterokrotnie.

— Ale niech pan nie zapomina, że on zaraził siedmiu kolegów.



Rys. OTTON JAWORSKI

Art Buchwald

Gorączka srebra

— Przyjeżdżaj szybko — powiedziała Lila Thompson. — Henry zwariował.

Kiedy przybyłem, wskazała palcem na pokój jadalny. Przy serwantce siedział Henry ze strzelbą na kolanach.

— Nie zbliżać się, bo rozwalę łeb — ostrzegł.

— Czy możesz powiedzieć mi, o co chodzi? — zapytałem.

— Pilnuję srebra. Czy masz pojęcie, ile dziś kosztuje srebro?

— Podobno poszło w górę. Ale nie przypuszczałem, że masz tego tak dużo.

— Około to się, że siedzimy na skarbie. I nikt niech się nie waży podejść!

smy jeść palcami. Henry uważa, że nikt w rodzinie nie jest wart, aby używać naszych noży i widelców. Nic nie robi cały dzień, tylko waży łyki!”

— Słuchaj, Henry — powiedziałem. — Wiem, że srebro nabrało dziś wartości, ale nie możesz siedzieć do końca życia w jadalni.

— A co mam robić? Iść do pracy i pozwolić, żeby ktoś podwędził mi mój skarb.

— Jeśli jest tak cenny, dlaczego nie zdeponujesz go w banku?

— Nie ufam im. Chcę mieć srebra pod ręką i ważyć je co dzień.

Zapytałem jego żonę, czy zawiadomiła wszystkich ich syna Rogera.

— Henry nie będzie z nim rozmawiał. Daliśmy Rogeroowi na prezent ślubny srebrną zastawę. Rok później rozszedł się, a żona zabrała ze sobą prezent ślubny. Henry mówi, że nie chce

mieć nic wspólnego z człowiekiem, który pozwala żonie odejść z całym srebrem tylko dlatego, że w małżeństwie coś nie klapowało.

— Wydaje mi się, że masz gorączkę srebra, Henry — powiedziałem. — Może warto je teraz sprzedać?

— Po 50 dolarów za uncję? Myślisz chyba, że zwariowałem. Teraz warto srebro kupować.

Lila powiedziała: — Chciał, żebym chodziła po sąsiadach i pytała, czy nie mieliby ochoty sprzedać nam swych srebrnych zastaw. To żalosne.

— No cóż, nie ci nie poradzę. W końcu mu to przejdzie. Ale zadzwonił, gdyby stan się pogorszył.

Pojechałem do domu. Żona zastała mnie w jadalni, gdzie pakowałem do powłóczki nasze srebro.

— Co ty robisz? — zapytała.

— Zabezpieczam nasz majątek. Jest zbyt cenny, aby trzymać go w szufladzie.

— Ale czym będziemy jeść? — chciała wiedzieć.

— Czy to takie ważne? — wrzasnąłem na żonę.

— Przecież można zrobić pizzę.

Lila, która stała za mną, powiedziała: „Odkąd srebro osiągnęło cenę 50 dolarów za uncję, mu-